

moja Lesznowola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 styczeń 2018, nr 20



Gmina w obiektywie

Zima potrafi czynić cuda.
Wszystko wydaje się ładniejsze.



7



20



22



43



37

Spis treści

6 Od Redakcji

7 Jak nie zostałem pilotem

...wycinał z papieru samolociki, robił różne modele, marzył, by zostać pilotem

13 Pani inżynierka

...projektowaliśmy i wykonywaliśmy meble dla wszystkich statków krajowych i zagranicznych

20 Śpiewająca ósemka

...ponieważ było nas osiem, chór przyjął jednogłośnie nazwę OKTAWA

22 Mama gra

...kojarzy się z latem, ciepłą, słoneczną plażą nad morzem i smukłymi zawodniczkami w skąpych kostiumach

28 Mizerna, cicha...

...za rok wierni znowu będą przychodzili do szopki

30 W drodze na biegun

...to była jedna z ostatnich kolejek do Mikołaja

32 Talent wypożyczony

...w domu śpiewała całkiem co innego, a śpiewała cały czas

37 Szybki Kuba

...nikt mnie nie znał, a ja nie znałem zasad licencjonowanych zawodów

43 Moje gotowanie

...gdy miałam siedem lat, robiłam sto pięćdziesiąt naleśników dla robotników

48 Król ziemniak

...ma swoje święta lokalne i narodowe



13



28



32



Od Redakcji

Rok 2018 zaczynamy z nadzieją, że uda się nam przedstawić Czytelnikom kolejną, co najmniej kilkudziesięcioosobową reprezentację ciekawych mieszkańców naszej gminy.

Jako niepoprawny optymista wierzę, że częściej niż w minionym roku będzie dzwonił telefon z propozycją przedstawienia kogoś ciekawego, a na adres naszej poczty elektronicznej będą nadal napływać nazwiska mieszkańców, których warto poznać.

Zastanawiałem się, czy w tym tekście opowiedzieć, kogo przedstawiamy w numerze, czy zaproponować inną formę prezentacji treści. Wybrałem tę drugą możliwość.

Chcę zwrócić uwagę, jak ważną rolę w naszym życiu odgrywa motywacja prowadząca do realizacji marzeń.

Nie ważne, czy to są marzenia o dalekich podróżach, trudy i wyrzeczenia, bez których osiągnięcie wyznaczonego celu jest niemożliwe, czy codzienna, dająca satysfakcję praca. Najważniejszy jest cel, który, jak to wynika z naszych spotkań, może być różny.

Społeczna praca dla innych, chęć osiągnięcia sukcesów sportowych, marzenie o karierze śpiewaczki, o podróżach, poznawanie ludzi i kuchni świata, chęć pokazania dzieciom, że mama do czegoś dąży, czy wybór drogi życiowej, która choć niełatwa, daje satysfakcję.

O ludziach, którzy mają w życiu cel, przeczytacie w tym wydaniu „mojej Lesznowoli”.

W numerze mamy też kilka zdań o dziesiątych urodzinach chóru OKTAWA, zimowym spotkaniu w Stefanowie i trochę akcentów zimy, która nas zaniedbała i odebrała urok świętom Bożego Narodzenia.

W naszej kuchni tym razem króluje ziemniak.

Miłej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

fot. z archiwum prywatnego Andrzeja Odzioby



– Często przyjeżdżaliśmy z żoną i córkami do przyjaciół, którzy osiedlili się w Jazgarzewszczyźnie. Zazdrościliśmy im tego miejsca. Cisza, spokój, działka, piękne brzozy, mili sąsiedzi. Za płotem las i bliskość Warszawy. Czy trzeba czegoś więcej? Któregoś dnia zadzwonił telefon: „Wiesz, Andrzej, jest do kupienia piękna działka obok nas. Może was zainteresuje” – powiedział przyjaciel. Decyzję podjęliśmy błyskawicznie.

– Prowadzimy dom otwarty. Zawsze jest u nas wielu przyjaciół. Nowy Rok witaliśmy przy ognisku i grillu w ogrodzie. Wprawdzie nie było śniegu, więc nie było tego zimowego klimatu, ale pnie brzoź pięknie połyskiwały w świetle księżyca, strzelały płomienie, było naprawdę urokliwie. Tak ciepłego Sylwestra – było plus 6 stopni – nikt z nas nie pamiętał – mówi Andrzej Odzioba, od kilku lat mieszkaniec naszej gminy.

Scenariusz pisze życie

Gdy Andrzej Odzioba był małym chłopakiem, takie nazwy jak Coca-Cola, Danone i McCormick nie mówiły mu nic. Wycinał z papieru samolociki, robił różne modele, marzył, by zostać pilotem, ale życie napisało dla niego inny scenariusz w zupełnie innej sztuce.

Urodził się w Świdniku. To tam były znane zakłady WSK PZL Świdnik, produkujące polskie śmigłowce

**...skończyłem kurs
szybowcowy i przez kilka lat
latałem na szybowcach
w aeroklubie w Świdniku**



Mi-1 i Mi-2, a później PZL W-3 Sokół i Anakonda, a także motocykle WSK.

Ojciec Andrzeja, inżynier, był przez wiele lat szefem działu konstrukcji śmigłowców w zakładach PZL Świdnik, więc trudno się dziwić, że chłopak był zafascynowany lotnictwem. Moglibyśmy w tym miejscu przypomnieć stare powiedzenie: „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”, ale to nie byłaby do końca prawda. Fascynacja lotnictwem miała bowiem swój określony etap.

W tamtych czasach chłopcy w Świdniku realizowali swoje lotnicze fascynacje w modelarniach. Przy spółdzielniach mieszkaniowych były różnego rodzaju pracownie. Duże pawilony, w nich klub, kawiarnia, ośrodek „Praktyczna pani”, w którym można było wypożyczyć zastawę stołową na ślub, pod okiem instruktorek uszyć spódnice, wysłuchać fachowej porady w zakresie prac domowych, bo celem ośrodka „Praktyczna pani” było świadczenie usług na rzecz ludności. Były też różne pracownie dla młodzieży, takie jak wspomniana modelarnia.

Była też w mieście druga modelarnia, przy aeroklubie, który miał słuszną jak na tamte czasy nazwę „Aeroklub Robotniczy w Świdniku”. Andrzej chodził oczywiście do tych dwóch pracowni.

– Zimą konstruowaliśmy modele szybowców, a wiosną wychodziliśmy na płytę lotniska, gdzie odbywało

się tak zwane „oblatywanie modeli” – szybowców i modeli silnikowych – mówi pan Andrzej.

– Były też tak zwane gumówki, czyli modele, w których napęd stanowiła wiązka cienkich gumek podłączona do śmigła. Obracając śmigłem, skręcano wiązkę gumek i puszczano model. Leciał dotąd, aż rozkręciła się guma.

Wyższą szkołą „pilotażu” były modele szybowców holowane linką. Linka miała około stu metrów, była specjalnym zaczepem spięta z szybowcem, drugi koniec brało się w rękę i biegło, a model wznosił się do góry. Gdy nabral wysokość, odpowiednim ruchem ręki wypinało się linkę, model „łapał komin” i szybował po okręgu, bo tak miał ustawiony statecznik. Niejednokrotnie nie dało się go sprowadzić na ziemię, bo jak się zaczął kręcić w kominie, to wkręcał się tak wysoko, że ginął z pola widzenia.

Były oczywiście różne zabezpieczenia, ale to techniczne szczegóły. Powiem tylko tyle, że jak pewnego razu koledze „urwał” się model, to chłopak biegł kilkanaście kilometrów za swoim szybowcem, nim ten wpadł w chmury i zniknął.

Starsi Czytelnicy pewnie pamiętają, że w Warszawie na Marszałkowskiej była popularna Centralna Składnica Harcerska, gdzie można było kupić wszystko, co małym i starszym konstruktorom do realizowania tego hobby było potrzebne. Można było tam nabyć różne modele z pa-

pieru, z masy, drewna, kleje potrzebne do sklejania, gumy i silniczki do napędu konstrukcji latających i pływających.

Andrzej był jednym z takich modelarzy. Zaczynał, nim poszedł do podstawówki.

– Sklejałem te samolociki, jeździłem z nimi na zawody i nawet miałem pewne sukcesy – wspomina dziś pan Andrzej.

– Później, gdy miałem szesnaście lat i mogłem zacząć latać, skończyłem kurs szybowcowy i przez kilka lat latałem na szybowcach w aeroklubie w Świdniku. Modele jednak kleiłem nadal. Nawet jak poszedłem na studia. Mieszkałem w Warszawie, w akademiku na Waryńskiego, a tam było wielu podobnych do mnie pasjonatów.

Na szybowcach latałem jeszcze przez pierwsze lata studiów.

Tak naprawdę moim marzeniem było studiowanie na wydziale pilotażu na Politechnice Rzeszowskiej. Studiowało tam wielu moich kolegów, którzy dziś latają w różnych liniach lotniczych. Tata mnie jednak przekonał, żebym poszedł na studia inżynierskie, bo w jego wydziale pracowali piloci doświadczeni, którzy jednocześnie byli inżynierami i wysokiej klasy fachowcami. Potrafili nie tylko pilotować samoloty czy śmigłowce, ale też sporządzać różne analizy i formułować wnioski, przydające się w dziale konstrukcji samolotów. „Licencję pilota zawsze zdążysz zrobić” – mówił, i to mnie przekonało.



Studiowałem więc na wydziale mechanicznym energetyki lotnictwa Politechniki Warszawskiej. Gdy podobny wydział otworzono w Lublinie, przenieśliśmy się na Politechnikę Lubelską i tam zrobiłem dyplom.

Studia w tamtych latach miały tę zaletę, że w wakacje można było wyjeżdżać do krajów zachodnich na tak zwane saksy, czyli do pracy. Do Francji zbierać winogrona, do Szwecji na borówki, do Niemiec na budowy, do Włoch, gdzie w sezonie wakacyjnym zawsze była praca dla pomocników w kuchni, kelnerów, barmanów czy pokojówek. Te doświadczenia bardzo mi się w późniejszym życiu przydały, choć jeszcze wtedy nie przyszło mi do głowy, że będę pracował w zagranicznych korporacjach, poznawał świat podczas podróży służbowych i że te służbowe wyjazdy wykorzystam także do tego, by biegając, odkrywać miejsca, do których kiedyś wrócę ze swoją rodziną.

Studia na politechnice dały mi dyplom magistra inżyniera mechanika i wszystko wskazywało na to, że swoje zawodowe życie zwiążę z lotnictwem.

Inna droga

– Jednak tak się nie stało. Życie zrobiło mi i wielu takim jak ja niespodziankę. Zaczęły się polskie przemiany ustrojowe, a wraz z nimi gospodarcze. Przemysł lotniczy padał i zakłady w Świdniku razem z nim. Zaczęły się zwolnienia. Z dyplomem

w kieszeni stanąłem przed decyzją co robić? Wiedziałem jedno. Trzeba dokonać innego wyboru.

Nie zostałem pilotem, nie zostałem konstruktorem lotniczym, nie poszedłem do pracy w PZL Świdnik. Nie spełniło się marzenie taty, że będziemy razem budowali śmigłowce, bo życie napisało dla mnie inny scenariusz.

Po politechnice poszedłem na studia podyplomowe. Zdecydowałem się na ekonomię w Szkole Głównej Handlowej i MBA w Akademii Leona Koźmińskiego. Tam nauczyłem się podstaw umiejętności menedżerskich potrzebnych do zarządzania i rozwiązywania problemów w firmie. Zdobyłem podstawy formułowania strategii rozwojowych, podejmowania decyzji, skutecznego negocjowania, komunikowania się oraz współdziałania z innymi. Jednym słowem zdobyłem wiedzę, pozwalającą mi na pójście nową zawodową drogą.

Zacząłem pracować w dużych zagranicznych korporacjach. Na mojej drodze znalazły się wielkie firmy: Coca-Cola, Danone i McCormick.

Praca w korporacji ma swoją specyfikę. Wymaga umiejętności zarządzania biznesem i komunikowania się z ludźmi zarówno na rynku lokalnym, jak i zagranicznym, a także zdolności komunikowania się z korporacją i nadbudową korporacji, umiejętności znalezienia się w specyficznej dla danej korporacji kulturze korporacyjnej czy organizacyjnej. Ale tym nie będę państwa zanudzał.

Zaczynałem w Coca-Coli.

U producenta napoju, który w latach mojej młodości był dostępny tylko za dolary czy bony dolarowe. W tej korporacji przepracowałem dziesięć lat. Kolejne dziesięć jako dyrektor sprzedaży w polskim Danonie „wodnym”, czyli firmie Żywiec Zdrój, choć pierwszymi produktami Danone na naszym rynku były kefir i śmietana. Z czasem uruchomiono produkcję homogenizowanych serków smakowych oraz znanych dzieciom danonków.

Ostatnie cztery lata pracowałem blisko domu, w naszej gminie, w firmie McCormick Polska S.A., która kupiła powstałą w Stefanowie wytwórnię przypraw Kamis.

Od stycznia zaczynam nowy etap w zawodowym życiu, ale o nim opowiem przy innej okazji.

Biegami do celu

– Kiedy pracowałem w firmie Danone, zacząłem biegać. Przez myśl mi wtedy nie przeszło, że będę biegał w maratonach. Po prostu chciałem





**...biegnąc,
dociera się do
miejsc, do których
nie dotrze się
samochodem ani
pieszo**

poprawić swoją kondycję fizyczną i bieganie wydało mi się najprostszą drogą do tego celu. Szybko jednak przekonałem się, że bieganie jest nudne i żeby mieć motywację, trzeba sobie wyznaczyć jakiś cel. Takim celem mógł być start w maratonach.

Zacząłem szukać w internecie odpowiedzi na kilka dręczących mnie pytań. Ile trzeba biegać, jak biegać, na jakim dystansie, jak długo, żeby przygotować się do maratonu? Po przeanalizowaniu tej wiedzy, doszedłem do wniosku, że wystarczy mi pół roku treningu i będę mógł wystartować.

Danone miał swoją siedzibę na warszawskiej Woli, a ja mieszkałem na Ursynowie. Wstawałem codziennie o godzinie szóstej rano, biegłem do Lasu Kabackiego, robiłem dziesięciokilometrową pętlę, wracałem po godzinie do domu, brałem prysznic, jadłem śniadanie i jechałem do pracy. W soboty i niedzielę robiłem dłuższy, dwudziesto-dwudziestopięciokilometrowy trening.

To był super okres w moim życiu, bo bieganie dawało mi niesamowitą

energię. Energia tak mnie rozpie-rała, że porzuciłem codzienne picie kawy, a koledzy z zespołu, z którymi pracowałem, pytali mnie, kiedy wreszcie przestanę biegać i trochę zwolnię (*śmiech*).

Z racji moich obowiązków zawodowych często musiałem wyjeżdżać. Zawsze jednak zabierałem ze sobą zestaw do biegania. Gdziekolwiek byłem – w Krakowie, Poznaniu, Rzeszowie czy za granicą – zawsze szukałem w internecie ciekawych miejsc i tras do biegania. Pojęcia nie miałem, ile można w czasie biegania odkryć. Przecież biegnąc, dociera się do miejsc, do których nie dotrze się samochodem ani pieszo.

Wiosną chyba 2006 roku, nie pamiętam, w kwietniu czy maju, zacząłem biegać z myślą o starcie w maratonie. We wrześniu wystartowałem w Maratonie Warszawskim i dobiegłem do mety. Tak się zaczęło.

Do 2016 roku przebiegłem siedem maratonów. Dwa razy biegłem, bo wylosowałem miejsce, w maratonie w Nowym Jorku. W jednym spotkałem na trasie biegnącego

profesora Grzegorza Kołodkę, w drugim przybiłem piątkę z dziennikarzem sportowym TVP Przemysławem Babiarzem. Biegłem też w maratonach w Londynie, Berlinie i trzy razy w Warszawie.

Kiedy biegałem w Hiszpanii czy we Włoszech, odkrywałem plaże, miejsca widokowe, miejsca których nie ma w żadnych przewodnikach, i potem jechaliśmy tam całą rodziną, bo naszą rodzinną pasją (pan Andrzej ma żonę Renatę i dwie córki, Paulinę i Annę) są zagraniczne wyjazdy, podczas których nigdy nie zatrzymujemy się w hotelach. Zawsze wynajmujemy jakieś lokum na pobyt i sami sobie gotujemy.

Chodzimy na lokalne bazariki, szukamy lokalnych produktów, przypraw, zaglądamy do przepisów kulinarnych albo podpatrujemy dania w restauracjach i eksperymentujemy. To jest naprawdę pasjonująca i przyjemna przygoda.

Obserwacje z podróży

– Wspomniałem o naszych kulinarnych doświadczeniach waka-

**...naszą rodzinną pasją są
zagraniczne wyjazdy, podczas
których nigdy nie zatrzymujemy
się w hotelach**

cyjnych i muszę powiedzieć, że tak nam to weszło w krew, że inaczej nie umiemy planować wyjazdów. Internet jest narzędziem tak powszechnym, że można w nim znaleźć i listę nieznanych u nas przypraw, i zestaw przepisów na dania kuchni świata, ale to nie zastąpi pójścia na lokalny targ, do lokalnych sklepików z przyprawami, czy spróbowania miejscowych potraw niekoniecznie w restauracji.

Działamy, można powiedzieć, dwukierunkowo. Pierwszy kierunek to odtwarzanie poznanych potraw i smaków, drugi – to kulinarne eksperymenty. Przenosimy je także do naszej kuchni domowej.

Ulubione smaki to kuchnia hiszpańska i azjatycka. Azjatycka z uwagi na niepowtarzalny mix smaków i lekkość potraw, a hiszpańska z uwagi na owoce morza, świetne wino i smaczne mięso.

Jeszcze o jednej przyjemności związanej z podróżami, tymi rodzinnymi i służbowymi, muszę koniecznie wspomnieć. Lubię usiąść i obserwować ludzi. Bardzo często w obcych



**...chodzimy na lokalne bazariki,
szukamy lokalnych produktów, przypraw,
podpatrujemy dania w restauracjach
i eksperymentujemy**



miastach poruszam się komunikacją miejską, metrem, autobusami i przyglądam się ludziom. Siadam gdzieś na placu, przez który przewijają się tłumy, i obserwuję.

Na południu Włoch obserwowaliśmy na plaży bardzo liczną włoską rodzinę. Wszystko kręciło się wokół mamy. Córki, synowie, wnuczki – wszyscy wokół mamy. Kawałek plaży zajętej przez ponad dwadzieścia osób, które tworzyły jedno ruchliwe i gwarne gniazdo.

Potem, około godziny szesnastej zbierali się na posiłek. Zasiadali całą rodziną przy zastawionych stołach, jedli, popijali winem, rozmawiali, wnosili coraz to nowe potrawy i celebrowali ten wspólny posiłek do późnych godzin nocnych. Piękny i fascynujący widok rodziny.

W Wietnamie inny obrazek. Rodzinne życie na ulicy. W Hanoi wieczorem całe rodziny wychodzą z domów, oblegają street foody, stragany, kioski z jedzeniem i różnego rodzaju zaimprovizowane stanowiska, na których są przyrządzane potrawy. Tłumy stoją, siedzą, rozmawiają, jedzą najróżniejsze ulubione, dziwne potrawy.

W Tokio w Japonii zauważyłem, że wszyscy po pracy szli codziennie w jednym kierunku. Do dzielnicy Shinjuku, która budzi się do życia, gdy Japończycy kończą pracę. Tłumy ludzi podążały do wypełnionej zgłębieniem dzielnicy jaskrawych, migających neonów, dziesiątek barów i różnych klubów uciechy. Tam pili, jedli, śpiewali karaoke i imprezowali do drugiej czy trzeciej po północy. Potem rozchodzili się do domów. Jedni o własnych siłach, inni niesieni lub ciągnięci przez kolegów, szli spać do kapsuł-sypialni i rano znowu wychodzili do pracy. Po pracy wracali do rozbawionej dzielnicy. Dzień w dzień to samo. Do wielu klubów w tej dzielnicy wstęp mają tylko członkowie.

Naprawdę warto obserwować ludzi, odkrywać nowe miejsca, poznawać nowe smaki. Jednak nigdzie nie jest tak dobrze, jak w domu,



do którego zawsze z radością wracamy. Do domu i ulubionej działki, którą bardzo pieczołowicie pielęgnuję. Lubię pracować w ogrodzie i przy niej wypoczywam. Lubię to miejsce. Kocham tu wracać. Cisza, spokój, piękne brzozy, mili sąsiedzi. Za płotem las i bliskość Warszawy. Tak miało być i tak jest.

Czasem, kiedy przeglądam stare pamiątki, z sentymentem i pewnym dziś rozbawieniem zaglądam

do „Książeczki przebiegu szkolenia szybowcowego”. Na jej pierwszej stronie opatrzonej moim zdjęciem jest napis „Uczeń – pilot Andrzej Odzioba” i data „Świdnik, 2.07.1985 rok”.

Ta książeczka przypomina mi o latach, kiedy marzyłem, by zostać pilotem. Piękne wspomnienia. Moimi sąsiadami w Jazgarzewskim są piloci, więc zawsze możemy porozmawiać o lataniu. ■



fot. z archiwum prywatnego Stanisławy Kondrackiej

Pani inżynierka



– Wiem, że to, co teraz powiem, może kogoś dziwić, ale moją największą pasją była praca. W pracy naprawdę się wyżywałam, bo było to zajęcie niezwykle ciekawe. W drugiej kolejności wymieniałabym działalność społeczną. Od młodości do teraz. Na trzecim miejscu wśród moich pasji są podróże, które kocham ponad wszystko – mówi Stanisława Kondracka z Mysiadła. I to są powody, dla których uznaliśmy, że warto panią Stanisławę poznać i opowiedzieć o niej naszym Czytelnikom.



Na dzień dobry dowiedzieliśmy się, że pani Stanisława nie robiła w życiu nic nadzwyczajnego, że wiodła normalne życie i nie wyobraża sobie, by mogła robić co innego. Skoro tak, to opowiemy, jak to normalne życie, w którym pasje zazębiały się ze sobą jak trybiki zegarka, wyglądało. Tym bardziej że ściany mieszkania pani Stanisławy zdobi kolekcja masek.

Dziewczyna z Podlasia

Pani Stanisława jest z wykształcenia technologiem drewna. Studiowała w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Dziewięćdziesiąt procent zawodowego życia związała z fabryką mebli okrętowych FAMOS w Starogardzie Gdańskim. FAMOS od 1956 roku był nie tylko producentem, ale też specjalizował się w projektowaniu i produkowaniu wyposażenia okrętowego do różnego typu statków. Robiono tam meble dla polskiego armatora i dla armatorów zagranicznych.

Pani Stanisława nie pochodziła z wybrzeża. Urodziła się w 1939 roku we wsi Wasilew Szlachecki w gminie Repki nad Bugiem, w powiecie sokołowskim, w rodzinie rolniczo-rzemieślniczej. Jest więc dziewczyną z Podlasia.

– Mój ojciec w zależności od potrzeb był i cieślą, i stolarzem, i rolnikiem. Było nas czworo rodzeństwa. Dwójka urodziła się przed wojną, ja w 1939 roku i brat po wojnie. Imię dostałam po ojcu.

Ojciec poszedł w 1939 roku na wojnę i wrócił na Podlasie dopiero w 1945 roku. Zaliczył przez te lata rosyjski obóz w Kozielsku, z którego wyszedł na zasadzie wymiany z Niemcami, a przeżył chyba dlatego, że był szeregowcem, bo oficerowie stamtąd, jak wiemy, nie wracali. Potem był w obozach na terenie Niemiec i w końcu trafił do niemieckiego Bauera. Ponieważ umiał wszystko w gospodarstwie zrobić, mówili na niego „Stacho inżynier”.

Szkołę podstawową ukończyłam w 1952 roku w Skrzyszewie, zaś liceum ogólnokształcące w Sokółowie Podlaskim. Po liceum wybrałam się na studia. Bałam



się, że jako dziewczyna ze wsi nie dostanę się na politechnikę, więc poszłam na SGGW, na wydział technologii drewna. Tam był egzamin z matematyki i fizyki, więc śpiewając dałam sobie radę. Studia ukończyłam w 1961 roku i z tytułem magistra inżyniera technologii drewna zaczęłam się rozglądać za pracę.

Rozwiązanie przyszło samo. Mój chłopak, później mąż, którego poznałam na studiach, dostał pracę w Fabryce Mebli Okrętowych w Starogardzie Gdańskim. Ja przez jakiś czas próbowałam zacząć się w Warszawie, ale w tamtych czasach trudno było w stolicy o meldunek, a bez stałego zameldowania, trudno było o pracę. Zaczęłam jako pracownik naukowy w warszawskim oddziale Instytutu Technologii Drewna.

Potem na dwa i pół roku przeniosłam się do przepięknego, świetnie wyposażonego Laboratorium Branżowego Płyt Pilśniowych i Wiórowych w Czarnej Wodzie, na skraju Borów Tucholskich.

To było doskonałe miejsce dla dziewczyny rozpoczynającej zawodową drogę. Wśród grona wspaniałych



inżynierów, techników, naukowców. Ludzi życzliwych, przyjaznych, otwartych na nowinki techniczne.

Z Czarnej Wody trafiłam do Starogardu Gdańskiego i podjęłam pracę we wspomnianej Fabryce Mebli Okrętowych. Zaczynałam w 1963 roku jako kierownik laboratorium, a kończyłam w 2000 roku jako zastępca dyrektora ds. technicznych. Gdy otwarto laboratorium, robotnicy z fabryki zaczęli przychodzić do mnie z różnymi okaleczeniami, bo im się laboratorium kojarzyło z ambulatorium. A ponieważ nie wiedzieli jak się do mnie zwracać, mówili „pani inżynierka”.

Kochałam tę pracę. Projektowaliśmy i wykonywaliśmy meble dla wszystkich statków krajowych i zagranicznych budowanych w Stoczni Gdańskiej, Stoczni im. Komuny Paryskiej, Stoczni Szczecińskiej im. Warskiego i mniejszych stoczniami.

To były dobre czasy dla polskiego przemysłu stocznioowego i dla naszej fabryki. Stocznia Gdańska wykonywała ponad sto statków dla armatora radzieckiego. Były to statki handlowe, ale też duże statki rybackie.



Stocznia im. Komuny Paryskiej pracowała dla rynku zachodniego, produkując statki różnego przeznaczenia. Meblowaliśmy nawet statki do przewozu gazów skroplonych, co by się teraz Polsce bardzo przydało.

Niestety – mówię to z wielkim bólem – nasz przemysł stocznioowy padł. Został zlikwidowany. Zostały zlikwidowane świetne biura projektowe, odeszli fachowcy, wspaniali ludzie.

Z pracą w fabryce FAMOS wiązały się również podróże do różnych armatorów i różnych portów, by na miejscu poznawać wymagania i potrzeby zlecających. To było dla mnie i wielu moich kolegów jedyne okno na świat w tamtych czasach, dzięki któremu nawiązywaliśmy kontakty.

W 2000 roku przeszłam na emeryturę i trafiłam do naszej gminy. Założyłam własną firmę i zajęłam się wykonywaniem ekspertyz. Potrzebowałam trochę wyciszenia po tych latach intensywnej pracy w Starogardzie Gdańskim.

Nadmiar energii

– Gdy mówię o intensywnej pracy, nie mam na myśli tylko pracy zawodowej, lecz także działalność społeczną, której oddawałam swój czas. Jakoś tak się w moim życiu składało, że choć z powodzeniem realizowałam się w pracy zawodowej, miałam nadmiar energii, z którą musiałam coś zrobić.

Wymyśliłam, że skieruję ją na działalność w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa. Zaczęłam jako działaczka terenowa, potem zostałam sekretarzem koła przy Fabryce Mebli Okrętowych w Starogardzie Gdańskim.

Mogę powiedzieć, że specjalizowałam się w organizowaniu wyjazdów technicznych i turystycznych do najciekawszych zakładów drzewnych i nadleśnictw. To były wycieczki dla członków kół z województwa elbląskiego i gdańskiego. Do południa zwiedzaliśmy zakłady, a po południu dochodziła do głosu trzecia z moich pasji, pasja turystyczna. Stawałam się dla moich kolegów przewodnikiem po muzeach, wystawach, zabytkach architektury i innych ciekawych miejscach na trasie naszych wyjazdów. Uwielbiałam rolę przewodnika. Bardzo solidnie się do niej przygotowywałam. To sprawiało mi ogromną satysfakcję i spotykało się z uznaniem.

Nie będę opowiadała, jakie funkcje pełniłam w organizacji, bo to z pewnością dla Czytelników nie jest ciekawe, więc powiem tylko, że zostawiłam po swojej działalności sporą kronikę z okazji przynależności FAMOS-u do branży okrętowej i przekazałam ją do muzeum SGGW. Mam też na swoim koncie wiele znaczących opracowań, nagród, odznaczeń i medali.



Ten dzień

– Jak wspominałam, do Starogardu Gdańskiego pojechałam za swoim chłopakiem, którego poznałam na studiach. Najpierw oboje pracowaliśmy w Fabryce Mebli Okrętowych, a potem mąż podjął pracę w banku. Codziennie ze Starogardu dojeżdżał do Gdańska. Był wiceprezesem Banku Gdańskiego. Niestety, może to stresująca praca, może inne czynniki wpłynęły na to, że zaczął mieć kłopoty z krążeniem.

Któregoś dnia źle się poczuł i pojechał na badania do Szpitala Akademii Medycznej w Gdańsku. Zrobiono mu koronografię. Czuł się dobrze i po niecałych dwudziestu czterech godzinach zapytał lekarza, czy może już wyjść. Lekarz się zgodził i kierowca wiozł go do banku. Gdy dojechali, mąż już nie żył. Zmarł na zawał serca. Miał pięćdziesiąt lat. Następnego dnia przywiozłam go w trumnie.

Zakochałam się w nim na studiach. Był dla mnie wszystkim. Na pogrzebie powiedziałam, że mogłam z nim góry przenosić. To była ogromna tragedia.

Nie wyszłam ponownie za mąż, bo wyznałam sobie w życiu inne cele. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że zbyt mało czasu poświęcałam rodzinie. Cierpiałam z tego powodu, bo gdy rzuciłam się w wir pracy, wychowaniem dzieci zajmowały się moja mama i teściowa. Mąż zawsze mówił, że bym nie robiła sobie z tego powodu wyrzutów, bo dzieci zostały wychowane dobrze. Ale po jego śmierci nic już nie było takie samo.

Znowu rzuciłam się w wir pracy. Praca była antidotum na cierpienie. Robiłam wszystko, byle nie być w domu. Przez kilka lat przychodziłam do domu jak do hotelu.

Miejsce babci

– Gdy przechodziłam na emeryturę, moja sytuacja nie była wesoła. Po śmierci męża trudno się było w Starogardzie odnaleźć. I wtedy przyszła propozycja od siostry i szwagra mojego męża. Budowali dom w Mysiadle. Szwagier zapytał, czy nie moglibyśmy budować razem i zamieszkać w jednym domu.

Mam dwie córki. Jedna mieszka w Gdańsku i nie ma dzieci. Druga mieszka w Mysiadle i ma ich szóstkę. Pomyślałam, że babcia im się z pewnością przyda i podjęłam decyzję. Przystałam na propozycję szwagra i nie żałuję.

W 2000 roku, zaraz po przejściu na emeryturę, przenieśliśmy się do domu, którego budowę nadzorował szwagier.

Ponieważ zawsze miałam nadmiar energii i pociągała mnie społeczniakowska – dziś byśmy powiedzieli – wolontariacka działalność, zaczęłam rozglądać się, co mogę w tej dziedzinie robić w naszej gminie. I tak trafiłam do klubu seniora w Mysiadle. Najpierw doprowadziliśmy do utworzenia sekcji gimnastycznej dla seniorów. Sekcja świetnie działa, ma wspaniałych instruktorów i cieszy się dużym zainteresowaniem.

Moją pasją były i są podróże i wycieczki, więc zaczęłam pracować przy organizacji wycieczek dla seniorów. Najpierw sięgnęłam do swoich dawnych kontaktów w STLiD. Udało się zdobyć trochę środków na opłacenie biletów wstępu do muzeum i przewodników po Warszawie. Potem już poszło. Zorganizowałam co najmniej piętnaście wycieczek po Warszawie, wspólnych dla członków stowarzyszenia i naszych seniorów.

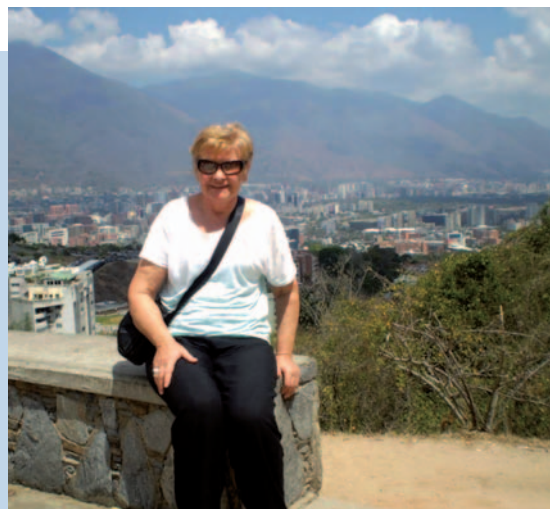
Później tak zadzierzgnęła się współpraca z Gminnym Ośrodkiem Kultury, z panią dyrektorką Walentyną Sobolewską i panią wójt gminy Marią Jolantą Batycką-Wąsik, że o co poprosiłam, to dostawałam. Organizowałam wycieczki krajowe, sama opracowywałam ich programy, dbałam, by koszty dla seniorów nie były zbyt wysokie, i zamieniałam się w przewodnika. Oczywiście w muzeach zawsze był przewodnik zawodowy, ale ja byłam przygotowana, by opowiedzieć o miejscowości, którą zwiedzamy, o miejscach wartych obejrzenia czy o ich historii. Ta działalność bardzo się rozwinęła. Seniorzy są zadowoleni, mówią, że jak Stasia coś organizuje, to trzeba się zapisywać w ciemno.

I tak jest do dziś. Byliśmy wspólnie w Łodzi, Kielcach, we Wrocławiu, na zamku w Książu, w Bieszczadach, na koncercie organowym w Bazylice Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny w Leżajsku. Byliśmy w Łąncucie i przepięknym Przemyślu, w Muzeum Beksińskiego w Sanoku. Zwiedzaliśmy cerkwie i miejsce odosobnienia prymasa Stefana Wyszyńskiego.

W tym roku chcemy pojechać do Zamościa i na Ukrainę, zwiedzić Lwów i okolice. Trzeba chyba będzie wziąć osiemdziesięcioosobowy autokar, bo tylu jest chętnych. To są seniorzy ze wszystkich klubów seniora w naszej gminie, a nie tylko z Mysiadła.



**...seniorzy są zadowoleni,
mówią, że jak Stasia
coś organizuje, to trzeba się
zapisywać w ciemno**



Warto żyć

– Zawsze kochałam i kocham podróże. Byłam w wielu krajach i jeśli coś wspominam, to przeżycia duchowe, których doświadczałam. Na przykład na początku lat dziewięćdziesiątych byłam na wycieczce w Izraelu. To było w okresie świąt wielkanocnych. Mieszkaliśmy blisko Grobu Pańskiego. Jestem osobą głęboko wierzącą, a do tego jeszcze przed każdą wycieczką dokładnie się przygotowuję. Czytam o tych wszystkich miejscach, które będę zwiedzała, więc potem tylko przeżywam. Tak było w Izraelu, gdy byłam w miejscach związanych z narodzeniem i męką Chrystusa.

W swoich podróżach odwiedziłam miejsca uznane za siedem nowożytnych cudów świata. Wielki Mur Chiński, Pomnik Chrystusa Odkupiciela w Rio de Janeiro, Machu Picchu – najlepiej zachowane miasto Inków, na przełęczy pomiędzy Huayna Picchu i Machu Picchu w Andach Peruwiańskich. Podziwiałam świątynię miłości Tadž Mahal w Indiach, rzymskie Koloseum wzniesione przez cesarzy z dynastii Flawiuszów, zatokę Hą Long w północnej części Wietnamu i mój ulubiony Angkor Wat, kamienny „arras” długości ponad 900 metrów, na którym widnieje prawie 20 tysięcy postaci przedstawiających realistyczne sceny z eposów indyjskich Ramajany i Mahabharaty i życia dworu.

Tej jesieni byłam w Emiratach Arabskich, bo chciałam zobaczyć dwudziesty drugi wiek, którego nie dożyję. Bogactwo robi wrażenie. Wszystko jest największe i najbardziej wymyślne. Doprowadziło jednak do tego, jak mówił przewodnik, że gdy siedzący na dolarach mieszkańcy chcą grillować, to wyjeżdżają na piaski pustyni, bo tylko tak mogą wrócić do korzeni i poczuć się w miarę normalnie. Nawet hotele mają „szczęściogwiazdkowe”. Ich ojcowie i dziadkowie żyli bez światła na pustyni, a tu nikogo nie dziwią złote klamki i złote krany. Zaczęłam się zastanawiać, co będzie z psychiką ludzi, którzy tam żyją.

Jestem ciekawa świata. Kocham historię, podziwiam architekturę i chcę jak najwięcej zobaczyć. Nie potrafię wyliczyć, w ilu krajach byłam, ale najczęściej jeździłam do Azji i Ameryki Południowej. Stąd te maski na ścianach, na które zwróciliście uwagę.



**...byłam w wielu krajach
i jeśli coś wspominam,
to przeżycia duchowe, których
doświadczałam**

Po wycieczce do Peru byłam w Hiszpanii. Oglądałam kąpiące złotem wnętrza kościołów i chciało mi się płakać. Myślałam, ile istnień Inków kosztowało to bogactwo. To smutna refleksja i gorzkie wspomnienia. Ale są też wesołe.

Na Murze Chińskim podchodzili do mnie Chińczycy i pytali, czy mogą się ze mną sfotografować, bo chcieli mieć zdjęcie z blondynką.

Kaukaz, Moskwa, Baku, Erewań – wycieczki z tamtych, minionych lat także wspominam jak najmilej. Pamiętam, jak moja mama mówiła: „Córku, ty się umebluj, a nie znowu wybierasz się na wycieczkę”.

Teraz jeżdżę z koleżanką. Została mi Etiopia, Afryka i RPA. Warto żyć. Moja mama umarła, mając sto cztery lata. Liczę, że mam jej geny i jeszcze trochę świata zobaczę. ■

**...miałam nadmiar
energii, z którą musiałam
coś zrobić**



Śpiewająca ósemka



– Wszystko zaczęło się dziesięć lat temu na wigilijny wieczór na Uniwersytecie Trzeciego Wieku – wspomina Magdalena Świderek, prowadząca chór OKTAWA, działający pod opieką GOK Lesznowola. Spotkałyśmy się na wigilii i jak to jest w zwyczaju, zaczęłyśmy śpiewać kolędy. Muszę powiedzieć, że całkiem niezłe to nam wychodziło. Przyniosłam na to spotkanie kilka tekstów i okazało się, że panie chcą śpiewać.

Padła propozycja utworzenia na UTW chóru, a ponieważ było nas osiem, chór przyjął jednogłośnie nazwę OKTAWA. Ponieważ śpiewam od urodzenia i mam wykształcenie muzyczne, zostałam kierownikiem tego ośmioosobowego zespołu. Nie był to jednak chór pań, które chcą sobie od czasu do czasu pośpiewać, tylko chór pań śpiewających mało popularny repertuar i w dodatku bez akompaniamentu, czyli a cappella. Wspólne zajęcia rozpoczęłyśmy od nauki kilku kolęd i pastorałek.

Wiosną 2008 roku repertuar nasz powiększył się o pieśni wielkopostne, które zaprezentowałyśmy w okresie Wielkiego Postu w kościele w Starej Iwicznej. To był całkiem nowy repertuar i nowe doświadczenie. Sięgnęłyśmy po starodawne pieśni i choć nie było łatwo, dałyśmy radę i pieśni te na stałe weszły do naszego śpiewnika. Występ ten był dużym sukcesem chóru i upewnił nas, że obrałyśmy słuszną drogę, omijając piosenki biesiadne, które śpiewają wszyscy. Zachęczone uznaniem, postanowiłyśmy poszerzać nasz repertuar i w ten sposób powstał program *Śpiewnik polski*, nad którym wciąż pracujemy.



Dziś piszemy o tym wszystkim dlatego, że OKTAWA ma dziesięć lat i z tej okazji odbyło się uroczyste spotkanie i koncert. Były kwiaty, podziękowania i gratulacje. Kolejnego dnia jubilatki wystąpiły z kolędami w kościele w Magdalence, które przy bożonarodzeniowej szopce, w doskonałej akustyce świątyni, zabrzmiały bardzo pięknie.

Wszystkie śpiewające panie to amatorki, które lubią ze sobą przebywać, ćwiczyć, spotykać się, rozmawiać, wzajemnie się wspierać, uczyć technik śpiewania i śpiewać.

OKTAWA ma w swoim bardzo zróżnicowanym repertuarze ponad sto dwadzieścia utworów, poczynając od pieśni religijnych, kolęd,

pieśni adwentowych i wielkopostnych przez pieśni patriotyczne związane z walką o odzyskanie niepodległości czy Konstytucją 3 maja. Są w jej repertuarze utwory kompozytorów współczesnych, ale także Fryderyka Chopina, Mikołaja Gomułki, Stanisław Moniuszki i innych. Są pieśni ludowe i piosenki dla dzieci.

W ciągu dziesięciu lat OKTAWA dała blisko sto pięćdziesiąt koncertów, a każdy był dla zespołu wielkim przeżyciem.

Chór OKTAWA tworzą: Barbara Chojnacka, Lucyna Gołębiwska, Jolanta Jarosz, Lucyna Kulczycka, Alicja Skowrońska-Marczuk, Magdalena Świderek, Maja Troszkiewicz, Teresa Waclawska. ■



fot. z archiwum prywatnego
Michaliny Tokarskiej

Mama gra

Siatkówka plażowa nie jest sportem masowym. Na ogół kojarzy się z latem, ciepłą, słoneczną plażą nad morzem i smukłymi zawodniczkami w skąpych kostiumach. Okazuje się, że wcale tak być nie musi, przynajmniej jeśli chodzi o słoneczną plażę. Bo tak na zdrowy rozum, jak się ma słoneczna plaża do naszej Lesznowoli? A jednak mieszkanka naszej gminy, Michalina Tokarska, brała udział w mistrzostwach Polski w siatkówce plażowej. Postanowiliśmy poznać panią Michalinę i naszą wiedzę na ten temat pogłębić.

Spotkaliśmy się w Centrum Sportu w Mysiadle, do którego pani Michalina przyprowadza swoje dwie pociechy na zajęcia sportowe. Córkę na siatkówkę, syna na judo. Sama jest absolwentką AWF im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie, pedagogiem, nauczycielem wychowania fizycznego, trenerem klasy II piłki siatkowej, instruktorem piłki koszykowej i fitness. Jej pasją jest siatkówka plażowa.

Co będzie, to będzie

– W piłkę plażową wcale tak długo nie gram – zastrzega z uśmiechem pani Michalina, słysząc, że przyszliśmy do niej jako eksperta od tej dyscypliny sportu. – Dopiero od pięciu lat biorę udział w różnych turniejach i startuję w mistrzostwach Polski.

Siatkówka plażowa spodobała mi się już na studiach. Spodobała do tego stopnia, że z moją przyjaciółką, Pauliną Bielanowską, wzięłyśmy w 2006 roku udział w Juwenaliach AWF. Była to świetna zabawa i ogromna radość, bo zawody wygrałyśmy.

Nie traktowałam jednak piłki plażowej poważnie, bo wiadomo, że aby w sporcie robić coś na poważnie, trzeba mieć trenera, sponsora, a jeszcze lepiej kilku. Siatkówka halowa i siatkówka plażowa to jednak nie to samo i lepiej trzymać się jednej dyscypliny sportowej niż łapać kilka srok za ogon. Dlatego ten start potraktowałam jako przygodę i nie myślałam o poważnych turniejach.

Pewnego dnia koleżanka, obecna moja partnerka na zawodach piłki plażowej, Justyna Tylutki, namówiła mnie, abyśmy wzięły udział w Otwartych Akademickich Mistrzostwach Polski, które każdego roku odbywają się w Gdyni. Postanowiłyśmy pojechać i spróbować. A co tam, co będzie, to będzie. Jak nam dobrze pójdzie, zaczniemy jeździć na turnieje.

Tak się napaliłyśmy na tę Gdynię, że prawie z marszu zajęłyśmy drugie miejsce. Zostałyśmy akademickimi wicemistrzyniami Polski. Był sukces, ale co z nim dalej robić? Są chęci, jest potencjał, stanowimy fajną parę, jednak bez sponsora nic osiągnąć się nie da. Miałyśmy tego świadomość, ale podjęłyśmy decyzję, że pociągniemy ten sukces.



Fot. Marzena Janik

...w siatkówkę
plażową można
grać wszędzie

Pięć lat temu były rozgrywane u nas tylko dwa damskie turnieje i mistrzostwa Polski w Niechorzu. Pojechałyśmy więc najpierw na turniej do Nowego Dworu, potem do Torunia, dostałyśmy „bęcki” i zostałyśmy sprowadzone na ziemię. Wprawdzie miejsca zajęte dawały nam możliwość startu w Niechorzu, ale miałyśmy dziwny niedosyt. Doszłyśmy bowiem do wniosku, że siatkówkę plażową w Polsce uprawia tak naprawdę ten, kto chce. Że jest wprawdzie w Łodzi Szkoła Mistrzostwa Sportowego, gdzie dziewczyny trenują piłkę plażową, że są jakieś dwie pary kadrowe, które jeżdżą na rozgrywki europejskie i światowe, ale to już wszystko, czyli... mizeria.

Przez cztery lata podejmowałyśmy różne próby, zawierałyśmy znajomości z ludźmi ze świata siatkówki plażowej. Poznałyśmy między innymi nasze czołowe reprezentacyjne zawodniczki – Magdalenę Michoń-Szczytowiec i Joannę Wiatr. Madzia była poza tym trenerką kadry, a Asia jest trenerką teraz. W tym roku tak się złożyło, że ja będę grała w parze z Madzią, a Justyna Tylutki z Asią. Wszystkie jesteśmy mamami, mówią na nas „mamuški”. Mamy razem siedmioro dzieci.

Siatkówka plażowa w ciągu tych lat poszła bardzo do przodu. Świetnie się więc złożyło, że weszłyśmy w ten sport i jesteśmy z tymi wszystkimi fajnymi ludźmi, którzy wokół tego sportu się obracają, którzy organizują



...siatkówka plażowa spodobała mi się już na studiach

rozgrywki i stanowią jedną wspaniałą rodzinę piłki plażowej. Rozgrywki wzbogaciły się o turnieje otwarte, tak zwane Plaża Open, organizowane przez Marcina Strzadąłę i wielokrotnie reprezentanta Polski, Marcina Prusa. Obaj stworzyli cykl ogólnopolskich turniejów, dających punkty uprawniające do startu w mistrzostwach Polski.

W lipcu ubiegłego roku było pięć takich turniejów. I tu pewnie Czytelników „mojej Lesznowoli” zaskoczę, bo powiem, że piłka plażowa to niekoniecznie plaża i wybrzeże. To piach, bo rozgrywki są na piachu. I dlatego na przykład corocznie jest rozgrywany turniej pod nazwą Plaża Gotyku w Toruniu. Na nowomiejskim rynku nawieszony jest piach i są oznaczone boiska, na których toczą się rozgrywki.

Kiedyś, jak byłam dzieckiem, to rzeczywiście rozgrywki piłki plażowej były na plażach na wybrzeżu. Dziś można grać wszędzie. Można nawet zorganizować rozgrywki w czasie Święta Lesznowoli na błoniach przez Urzędem Gminy. Piękne miejsce, duża powierzchnia, wystarczy nawieść piachu i wytyczyć boiska. Będzie to tak zwana plażówka miejska, którą można rozgrywać naprawdę wszędzie. Skoro rozgrywa się ją na rynku

w Cieszynie, Toruniu, w Manufakturze w Łodzi, w Zamościu, to i u nas można. Przecież te rozgrywki to tak naprawdę występy, na które przychodzą ludzie. Jedni oglądają je przy okazji, bo wyszli z pracy czy na zakupy, inni kibicują całymi rodzinami, bo są akurat z dziećmi na spacerze.

Daj sobie spokój

– Od razu powiem, że nie jestem z rodziny sportowej i nie kontynuuję tradycji rodzinnych. Tata, gdy był młody, robił wycieczki rowerowe, ale to nie było uprawianie sportu. Mama preferowała piesze wycieczki, turystykę i wołała się uczyć, niż tracić czas na sport. Rodzice moi należeli do tak zwanych kujonów, poznali się na politechnice i tam widzieli przyszłość córki.

Moja mama przeżyła szok, gdy powiedziałam, że chcę studiować na AWF. „Przecież to nie są studia – ubolewała mama. – Będziesz panią od fikołków?”

W podstawówce chodziłam do klasy sportowej razem z naszym „złotkiem”, reprezentacyjną siatkarką Kasią Skowrońską. To była sportowo jedna ze słabszych dziewczyn w klasie, ale zaczęła chodzić na treningi w klubie RKS Skra Warszawa i po roku już fajnie grała. Ja w szkole trenowałam siatkówkę, ale umiałam wszystko. Miałyśmy lekkoatletykę, gimnastykę, piłkę ręczną, koszykówkę. Dziesięć godzin sportów ogólnorozwojowych i siatkówka tylko na zajęciach SKS. Jestem pewna, że Kasia Skowrońska tak daleko zaszła w swojej siatkarskiej karierze, bo miała właśnie te postawy.

Wszystko, czego się w szkole nauczyłam, zawdzięczam wspaniałej nauczycielce WF-u, mojej pierwszej trenerce, pani Elżbiecie Rejniak. Ona nie żądała od nas wyników. Dla niej najważniejszy był ruch.



Gdy zdałam do siódmej klasy, przeprowadziliśmy się z Ursynowa do Mysiadła. Dla mnie był to koniec świata. Na nic nie miałam czasu. Dom, szkoła, trening, dom. Rodzice nie martwili się, jak dojadę z treningu do domu, tylko uporczywie zwracali mi uwagę, że tracę koleżanki i już z nikim nie mam kontaktu.

Gdy swoim rodzicom mówiłam, że muszę jechać do klubu na siatkówkę, to widziałam ten grymas na twarzach. Siatkówka? No nie, daj sobie spokój. A pani Elżbieta brała mnie i jechała ze mną na rozgrywki. Kiedy po rozgrywkach makroregionu Polski załapałam się do klubu Skra, moi rodzice każdego dnia suszyli mi głowę, że to nie dla mnie. Taką miałam motywację (*śmiech*).

Do tego codziennego zniechęcania doszedł jeszcze mój stres „dziewczyny w trampkach”, która przyjeżdża do klubu nie wiadomo skąd, która nie ma tak jak inne sportowych butów do siatkówki, nakolanników adidasa czy szpanerskich podkolanówek. Może dlatego w końcu nie wytrzymałam tej presji. Dziś w rodzinie wersja jest taka, że to ja zrezygnowałam, ale o czym może decydować trzynastoletnia dziewczynka? – Na to nie udzielał mi odpowiedzi.

– Gdy poszłam później do liceum im. Kochanowskiego w Warszawie, przeżyłam szok. Nikt w nic nie umiał grać. Dziewczyny, które trenowały koszykówkę, wcale nie były lepsze ode mnie. Rzuciłam raz piłką lekarską i od razu ustanowiłam rekord szkoły. Pani od WF-u tylko mówiła: „Michasia, pokaż to, zrób tamto”. Dziś chce mi się z tego śmiać, ale wtedy nie mogłam uwierzyć, że z wychowaniem fizycznym moich koleżanek jest tak tragicznie. W liceum grałam w siatkówkę w lidze szkolnej, potem przeszliśmy do pierwszej ligi.

Gdy zaczęłam studia, poszłam do trenera i powiedziałam, że chciałabym grać w drużynie akademickiej. Ale gdy przedstawiłam moje dotychczasowe doświadczenia, nie miał dla mnie miejsca. Druga liga to był za wysoki poziom. Zgłosiłam się więc do trenera trzeciej ligi i zaczęłam grać. Po jakimś meczu trener drugiej ligi przyszedł do mnie i powiedział, że chce mnie mieć w swoim zespole, i zaczęłam grać w drugiej lidze AWF. Na studiach poznałam mojego męża.

Dam radę

– Po studiach grałam półtora roku w drugoligowym klubie w Ostrołęce. Potem zaszłam w ciążę, wróciłam do Mysiadła i urodziłam Igę. Pomyślałam, że wrócę na AWF i dalej będę grała w siatkówkę. Gdy to usłyszała moja mama, która urodziła cztery córki, powiedziała: „Przecież to jest niemożliwe. Ty będziesz matką! Będziesz miała dziecko, więc jak chcesz grać w siatkówkę?”

– Pomyślałam: „Boże, mama urodziła czworo dzieci, to może ma rację? Może ja nie dam rady?”. Miesiąc po porodzie wyszłam, żeby się przebiec, i wróciłam załamana. Byłam przekonana, że nigdy nie wrócę do formy. Kondycja niezła, oddech w porządku, ale to ciało?



Dramat. W ciąży przytyłam 25 kg i to było teraz widać. Masakra. Od września miałam wrócić do gry, bo zaczynał się sezon...

W sierpniu pojechałam na obóz treningowy. Biegałam po bieżni z wózkami, karmiłam małą i znowu na tartan z wózkami. Przerwa na karmienie, sen małej i od nowa. Szybko doszłam do formy, ale po dziewięciu miesiącach kolejna ciąża. Musiałam przerwać granie. Przeprowadziliśmy się do Nowej Iwicznej. Na świat przyszedł Mikołaj. „No, to już chyba sobie nie pogram” – pomyślałam. Ale nie. W Złotokłosie była trzecioligowa drużyna, więc postanowiłam się trochę poruszać.

Z utęsknieniem czekałam na każdy czwartek, bo w czwartki grałyśmy. Zabierałam nakarmionego Mikołaja, w foteliku stawałam w magazynku tak, żeby go mieć na oku, i spał. Moja rodzina uznała, że jestem nienormalna, a ja co czwartek wracałam zmęczona i szczęśliwa. Dawałam radę i myślałam: „Byle do wiosny”, bo to był grudzień. Przyszła wiosna, nic się nie zmieniło, ale wszystko udało mi się poukładać. Pogodzić macierzyństwo ze sportem.



...jestem grającym trenerem MUKS Krótka Mysiadło

Gdy zaczęłam grać w Złotokłosie, dowiedziałam się, że drużyna AZS LSW, czyli Akademickiego Zespołu Sportowego Lingwistycznej Szkoły Wyższej prowadzona przez Agatę Szustowicz, awansowała do drugiej ligi piłki siatkowej. Zgłosiłam się na testy i... grałam z nimi dwa sezony. Po dwóch sezonach drużyna AZS LSW i drużyna Politechniki Warszawskiej dziewczyn, dwie czołowe drużyny drugiej ligi, rozpadły się. Dziewczyny się rozjechały. I nie było pomysłu, co dalej. Wtedy zebrałyśmy się z kilkoma dziewczynami i założyłyśmy w ramach MUKS Krótka Mysiadło drużynę senierek. To był sezon 2013/2014. Byłam pierwszym trenerem tej drużyny. W tym roku, na początku stycznia wygrałyśmy mecz z drugoligową Legionówką.



Moja filozofia, jeśli chodzi o dzieci i moją pasję, jest prosta. Ja pokazuję swoim dzieciom, że mama do czegoś dąży. Mama chce coś osiągnąć. Nie usiadła na laurach, nie robi tylko obiadków, choć lubi gotować, nie piecze tylko ciast, ale chce czegoś więcej. I nie ma dla mnie nic ważniejszego od tego, aby dzieci były ze mną i mężem na finałach rozgrywek o mistrzostwo Polski.

Gdy słyszę od mojej córki: „Mama, super grałaś”, nawet jeśli mecz był przegrany, to mam rekompensatę za wszystkie trudy. Za wszystko. Mama, która nie słyszy od swojej córki – „Mamo, ja chcę być taka jak ty, chcę grać tak jak ty” – nie wie, jakie to przyjemne.

Na co dzień jestem wuefistką. Uczę w Zespole Szkół w Piasecznie i od 2009 roku jestem grającym trenerem MUKS Krótka Mysiadło. ■

...pokazuję swoim dzieciom, że mama do czegoś dąży

Mizerna, cicha...

Święta bez śniegu minęły błyskawicznie i trudno uwierzyć, że kończy się styczeń. Za chwilę znikną wszystkie symbole bożonarodzeniowego święta. Zniknie szopka sprzed ołtarza kościoła w Mrokowie, która była dokładnie taka, jak mówią słowa kolęd.



*Mizerna, cicha, stajenka licha,
Pełna niebieskiej chwały.
Oto leżący, przed nami śpiący
W promieniach Jezus mały.*

*Nad nim anieli w locie stanęli
I pochyleni kłęczą
Z włosy złotymi, z skrzydła białymi,
Pod malowaną tęczę...*

Za rok zgodnie z tradycją wierni znowu będą przychodzili do szopki. Czy będzie taka jak ta? Trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć, ale warto tegoroczną szopkę z Mrokowa zachować w pamięci. ■



W drodze na biegun...



To była jedna z ostatnich kolejek do Mikołaja w tym roku. Na następną będzie trzeba czekać długie miesiące. Na rogu Malinowej i Granicznej w Stefanowie choinkowym spotkaniem pożegnano gwiazdkowy okres.

To już doroczna tradycja. W styczniu, przed odjazdem na biegun, do Stefanowa wpada na kilka godzin Mikołaj i przynosi po raz ostatni w tym roku prezenty. Tak było i tym razem. Pod zielonym namiotem kłębiły się paczki pełne misiów, piłek, pluszowych kotków, bączków, pszczołek, koszulek, ciężarówek i helikopterów. W kolejce po prezenty stali najmłodsi mieszkańcy Stefanowa, Jabłonowa i Kolonii Warszawskiej. Wystarczyło dla wszystkich.

Prezenty można było dostać za dobre zachowanie, wierszyk lub piosenkę. Jedni więc śmiało deklamowali okolicznościowe rymowanki, inni cicho odśpiewali kolędy, niektórzy ledwo słyszalnie wypowiedzieli własne imię. Ale to wystarczyło. Mikołaj, jak wiadomo, kocha wszystkie dzieci, więc każde odchodziło zadowolone, niosąc symboliczną paczkę.

Było zimno. Wizycie Mikołaja towarzyszyło więc ognisko, bo dobrze gdzieś się zagrzać. Była też gorąca czekolada i grill. Przy grillu, też już zgodnie z tradycją, stała Dorota Panfil i czujnym okiem doglądała właściwego stopnia przypieczenia kielbasek, kaszanki i boczku. Ci bardziej ambitni mogli sami chwycić za patyki i w żarze ognia przygotować własne kielbaski.



Śniegu w tym roku nie było. To był jedyny element, który zmienił trochę tradycję. Gdy jest śnieg, jest kulig. Tym razem się nie udało. Wprawdzie, jak mówił Zenon Wójcik, sołtys Stefanowa, śnieg zamówił, ale na tegoroczną pogodę mocnych nie było. Nawet zamówienie sołtysa nie pomogło.

Za parę dni z palcu zabaw na rogu Malinowej i Granicznej zniknie kolorowa choinka. Po saniach Mikołaja na chwilę pozostaną białe smugi na niebie, ale i one szybko się rozmyją. Na zawsze zostaną wspomnienia. Choinkowe spotkania są sympatyczne. To prosty pomysł na integrację okolicznych mieszkańców i zrobienia czegoś fajnego dla najmłodszych. Nie trzeba wielu środków, potrzeba pomysłu i samozaparcia. Dzieci były zadowolone, a to pewnie najlepszy dowód na to, że warto. ■





fot. z archiwum prywatnego Katarzyny Dubienieckiej

Talent wypożyczony

W notatkach z tej rozmowy mamy wypisane między innymi takie hasła: „odkrycie obozu, szara myszka, rozśpiewany Wawer, samouk, wypożyczony talent”. Wszystkie one dotyczą Katarzyny Dubienieckiej, piętnastoletniej mieszkanki naszej gminy, która śpiewa i której dotychczasowe życie w całości jest poświęcone tej pasji. Poznaliśmy Katarzynę i jej rodziców.

– Kiedy urodziła się Kasia, razem jeździliśmy po mamę do pracy. Żona, instruktorka tańca, prowadziła w Piasecznie szkołę tańca i do tej szkoły przyjeżdżaliśmy z Kasią – wspomina pan Mariusz, tata Kasi. – Brałem córkę w nosidełka, wchodziliśmy na salę i razem słuchaliśmy muzyki. Widać było wyraźnie, że sprawia to niemowlakowi przyjemność i że reaguje na rytm. Ponieważ Gosia, czyli mama, pracowała do późna, a chcieliśmy być razem, tak w trójkę spędzaliśmy wieczory.

– Potem było przedszkole muzyczne. Znajomi polecieli nam „Nutkę” – mówi pani Małgorzata – więc zapisaliśmy tam Kasię. Któregoś dnia nauczycielka muzyki pani Katarzyna Zabłocka zapytała mnie, czy może wypożyczyć talent, czy może zabrać Kasię do Wawra na przegląd piosenki. „Nie ma problemu – odpowiedziałam. – Chodzi do przedszkola, chodzi na zajęcia, niech jedzie i śpiewa”.

Powiem szczerze, że nawet nie pojechałam z nią do tego Wawra. Okazało się, że tam odbywał się ogólnopolski konkurs piosenki „Rozśpiewany Wawer” i Kasia w tym konkursie zajęła trzecie miejsce. Od tej chwili pani Zabłocka zaczęła bardziej interesować się Kasią i poświęcała jej więcej czasu.

Potem był w Pruszkowie przegląd kolęd i pastorałek, na który pojechała. Zajęła tam drugie miejsce i podbiła serca publiczności. Po tym przeglądzie pani Zabłocka odbyła z nami poważną rozmowę. Powiedziała, że Kasia powinna śpiewać i od tego momentu śpiewa. Mogę powiedzieć, że śpiewa cały czas.

Regularnie występuje w konkursie „Rozśpiewany Wawer” i uczestniczy w przeglądach w Pruszkowie. W tym roku zdarzyło się to po raz dziewiąty.

Kasia jest uczennicą trzeciej klasy gimnazjum w Lesznowoli.

Na poważnie

– Kiedy zbliżał się koniec wychowania przedszkolnego, tuż przed rozstaniem z „Nutką”, był nabór do chóru Alla Polacca, dziecięcego i młodzieżowego chóru przy Teatrze Wielkim Opery Narodowej w Warszawie. Chór od 1983 roku prowadziła pani Sabina Włodarska. Kasia pojechała na eliminacje. Po nich zadzwoniła do mnie pani Włodarska i powiedziała, że z przyjemnością będzie widziała Kasię w grupie i zaprasza do chóru – wspomina mama.

– Niestety radość trwała krótko, bo Kasia z tego zaproszenia z uwagi na zajęcia w szkole skorzystać nie mogła. Próby chóru były o siedemnastej, Kasia o tej porze kończyła lekcje w szkole i nie dało się tych dwóch zajęć pogodzić. Zadowolona się występami w szkole.

Po kilku latach, kiedy Kasia była w piątej klasie, wróciliśmy do sprawy Alla Polacca. Zatelefonowałam do teatru i przyjęli ją z otwartymi ramionami. Śpiewała w chórze półtora roku.

– W tym miejscu trzeba wspomnieć – wtrąca tata – że byliśmy już w stanie podejść do sprawy niejako zawodowo. Mogliśmy zapewnić i finansowanie, i dowożenie Kasi do Teatru. Zaczęliśmy to jej śpiewanie traktować poważnie. Jeździliśmy dwa razy w tygodniu z Kasią



...zaczęliśmy to jej śpiewanie traktować poważnie

do Warszawy, czekaliśmy dwie godziny, aż skończy próby i wracaliśmy do domu. Przeorganizowaliśmy nasze życie pod jej kątem.

– Odnosiliśmy jednak wrażenie, że Kasia nie czuje się dobrze w repertuarze klasycznym. Widać i słysząc było w domu, jak odreagowuje te próby i spektakle, bo w domu śpiewała całkiem co innego, a śpiewała cały czas.

Do wszystkich przeglądów, w których brała udział, przygotowywała się sama. Ja co najwyżej kupowałam jej podkłady muzyczne, wynajdowałam muzykę, a ona ściągała teksty i śpiewała.

– Przez prawie rok pracowałam z panią Iwoną Maniastą-Kutryś, która w GOK w Mysiadle prowadziła studio piosenki – uzupełnia Kasia. – Z tej racji wzięłam udział w dwuetapowym Ogólnopolskim Przeglądzie Kolęd i Pastorałek w Opatowie. Pierwszy etap polegał na tym, że nagrywaliśmy piosenkę w studio i wysyłaliśmy na przegląd. Ocena nagrania była eliminacją do drugiego etapu. Zostałam zakwalifikowana, ale gdy wyszłam na scenę i zobaczyłam te tłumy na widowni, przegrałam ze stresem. Był tak wielki, że mnie pokonał.

Pierwszy raz przegrałam ze stresem, gdy miałam sześć lat. W przedszkolu. Był to Dzień Matki i Ojca. Śpiewałam z moim kolegą Maćkiem piosenkę dla mamy i taty, i tak się zestresowałam, że w ogóle nie zaśpiewałam swojej kwestii.

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zobaczyłam, jak to jest, przekonałam się jak być może i nigdy już to się nie powtórzyło. Gdy występuję, nie wiem, co to jest stres, a występuję bardzo często. Biorę z powodzeniem udział we wszelkich gminnych przeglądach.



Musical to jest to

– Nie lubię śpiewać w chórze. Nie lubię stać w chórze. Śpiew operowy, repertuar poważny to nie jest moja bajka. Gdy byłam mała, śpiewałam zawsze solo. Jeśli śpiewam w chórze i stoję w grupie, muszę się dopasować głosem do wszystkich i nie mogę się wybić, bo to w chórze źle brzmi. To mi nie pasowało.

Gdy śpiewam sama, wiem, że odpowiadam za siebie. Wiem, co mogę i ile mogę. Gdy stoję w grupie, a obok mnie ktoś coś psuje, to bardzo to przeżywam. Jeśli chodzi o śpiew, jestem perfekcjonistką. Mój repertuar to muzyka rozrywkowa, to musical.

Przygoda z teatrem musicalowym przytrafiła mi się przypadkowo. Znajoma rodziców wysłała córkę na obóz z Teatrem Muzycznym Tintilo. Teatr ten powstał 27 lat temu i występuje gościnnie w warszawskich teatrach. Od 15 lat jest związany z Teatrem Rampa na Targówku.

Wiedziałam, co to jest teatr Tintilo, bo byłam ze szkołą na spektaklu muzycznym wystawianym przez niego. To był *Książę czy żebrak*. Po spektaklu dostaliśmy ulotki informujące o obozach organizowanych przez teatr. Od trzech lat chciałam na taki obóz pojechać, ale w wakacje zawsze zwyciężała inna moja pasja, żeglarsstwo.



...zostałam rzucona na głęboką wodę

Koleżanka opowiadała mi, jak fajnie jest na tych obozach, a ja im częściej chodziłam na spektakle teatru – byłam i na *Księżniczce Sarze*, i na *Wigilijnej opowieści* – tym bardziej chciałam jechać. I pojechałam. Odrzuciłam myśl o udziale w programie telewizyjnym *The Voice Kids* i pojechałam z Tintilo.

Fascynują mnie musicale. Ostatnio byliśmy w Teatrze Roma na spektaklu *Piloci*, wzruszająco pięknej musicalowej opowieści o miłości brutalnie przerwanej przez II wojnę światową. Oglądałam, słuchałam i marzyłam, żeby kiedyś zagrać w tym musicalu rolę głównej bohaterki Niny, warszawskiej piosenkarki i aktorki kabaretowej, która kocha wojskowego pilota.

Są w tym musicalu piękne piosenki, wspaniała choreografia i cudowna scenografia. Wszystko, co powinno być w musicalu. Śpiew, taniec i aktorstwo. Trzy elementy, które są dla mnie bardzo ważne. Mama tańczyła, ja od przedszkola uczyłam się tańczyć i teraz, kiedy jestem w teatrze Tintilo, mam cztery godziny tańca w tygodniu.

Cztery godziny tańca, godzina teatru i godzina śpiewu. Trzy razy w tygodniu jeżdżę z Wilczej Góry na zajęcia do szkoły na ulicy Elektoralfnej w Warszawie. Zajęcia zaczynają się o osiemnastej i trwają do dwudziestej. Z domu muszę wychodzić koło piętnastej. Do tego dojdą mi teraz lekcje emisji głosu. Łatwo nie jest, bo przecież mam jeszcze szkołę, ale warto.

Szara myszka

– Przyszłam do Tintilo trochę zagubiona, wyciszona, taka siedząca w kącie szara myszka. Dostałam się do grupy, w której byli wszyscy ci, którzy w obozie Tintilo uczestniczyli pierwszy raz. W drugim dniu obozu, a było to już po wstępnych przesłuchaniach, na podsumowaniu dnia, czyli tak zwanym kręgu, wyczytano kilka nazwisk, w tym moje, i zaproszono nas do sali przesłuchań. Tam pani prowadząca spotkanie poprosiła, aby każda z nas zaśpiewała partię Amelii z musicalu *Księżniczka Sara*.

Dziewczyny znały tekst, więc śpiewały. Ja tekstu nie znałam, więc trochę się denerwowałam. Na szczęście szybko się uczę, więc kiedy dziewczyny śpiewały, nauczyłam się piosenki i zaśpiewałam. To było takie sprawdzenie naszych możliwości wokalnych do roli Amelii w *Księżniczce Sarze*. Potem był kolejny casting. Śpiewałam w duecie z Kamilem Jarosem. To była partia Amelii z jej ukochanym Tomim. Dostałam scenariusz, odbyła się próba z tekstem i pani Teresa Kurpias-Grabowska, założycielka teatru Tintilo, powiedziała, że jak wszystko dobrze pójdzie, w następnym sezonie będę grała w teatrze.

Byłam szczęśliwa, bo przecież jeszcze nie byłam w teatrze, a tu rysowała się nowa muzyczna przygoda i wspaniała perspektywa, która miała się wkrótce spełnić.

– W jakiś czas później – wtrąca mama – dowiedziałam się od instruktorki śpiewu, kompozytorki, pani Anny

...cieszę się tym,
co już osiągnęłam
i żyję nadzieją,
że osiągnę jeszcze
więcej



fot. z archiwum prywatnego Jakuba Salomonowskiego



Szybki Kuba



Bajak, że Kasia była odkryciem tego obozu. Przyszła cichutka, skromna, nieśmiała, a jak zaśpiewała, to zaskoczyła wszystkich. Konsekwencją tego odkrycia będą teraz dodatkowe zajęcia. Kasia będzie chodziła na emisję głosu.

– Na chwilę jeszcze wrócę do obozu – kontynuuje Kasia. – Pierwszego dnia, żeby nas trochę poznać, były przesłuchania. Drugiego dnia wieczorem były zajęcia z tańca. Podszedł do mnie pan Marcin Furga, choreograf, instruktor tańca, który organizował wtedy *Wieczór talentów*. Bez zbędnych wstępów poinformował mnie, że na tym wieczorze będę śpiewała piosenkę *Szyba* z musicalu *Metro*. W pierwszej obsadzie *Metra* śpiewała ją Katarzyna Groniec.

Byłam zaskoczona, bo nie byłam na żadnym castingu, ale przypomniałam sobie, że słyszał mnie, jak śpiewałam pierwszego dnia obozu. Należę do tych osób, które mają wielkie opory, żeby samemu zgłosić się do takiego występu i z pewnością bym tego nie zrobiła.

– Tego dnia, kiedy był występ Kasi, z klubem motocyklowym Moto Iwiczna byłem na dwudniowym wyjeździe – mówi tata. – Zostawiłem kolegów i sam w gradzie i deszczu, bo pogoda była fatalna, gnałem

trzysta kilometrów, wylewając wodę z butów, żeby to zobaczyć i posłuchać, jak Kasia śpiewa. Powiem, że było warto. To było dla mnie ogromne przeżycie.

– Nie byłabym tu, gdzie jestem, gdyby nie te prawie dwadzieścia lat pewnego rodzaju wyrzeczeń, uporu i pracy – mówi Kasia. – Śpiewam, ćwiczę, próbuję się rozwijać, cieszę się tym, co już osiągnęłam i żyję nadzieją, że osiągnę jeszcze więcej. Nie byłabym w teatrze Tintilo, gdzie ostatnio grałam rolę Beti w musicalu *Wigilijna opowieść*. Śpiewałam z Kamilem Jarosem, instruktorem śpiewu, wokalistą, nauczycielem i kompozytorem, absolwentem wydziału wokalnno-estradowego w ZPSM II st. im. F. Chopina przy Bednarskiej w Warszawie. Czy to nie przyjemność i zaszczyt?

Na wigilii w teatrze Tintilo usłyszałam, że rola, którą dostałam w musicalu, była dotąd zawsze grana przez wokalnie doświadczone osoby. Mnie, dziewczynie z zewnątrz, powierzono tę rolę po dwóch miesiącach zajęć w teatrze, a pani reżyser powiedziała, że zostałam rzucona na głęboką wodę.

Jestem pewna, że zrobię wszystko, żeby się w tej głębokiej wodzie nie utopić. ■

– Nic nas tak nie uradowało, jak oddanie do użytku stadionu z bieżnią i boiskiem do gry w piłkę nożną przy szkole w Nowej Iwicznej. Natychmiast zaczęliśmy z niego korzystać. Braliśmy sprzęty, piłki do koszykówki, do nogi, rakietki do tenisa i obładowani szliśmy codziennie na boisko. Próbowaliśmy tam wszystkiego. To był nasz sposób na rodzinne spędzanie czasu – powiedziała Anna Woźniak-Salomonowska, która zaprosiła nas do swojego domu.

Działkę w Nowej Iwicznej, na której wybudowali dom, rodzice pani Anny kupili na początku lat dziewięćdziesiątych. Zamieszkały w nim cztery pokolenia. Dziadkowie, rodzice pani Anny i ona sama z mężem Tomkiem i synem Jakubem. Z tą trójką zasiedliśmy za długim dębowym stołem. Słuchaliśmy opowieści o wspólnej sportowej pasji i rodzinnym przedsięwzięciu, które koncentruje się wokół talentu Kuby.

Był taki dzień

W tej opowieści nie będzie chronologii. Zaczniemy od wydarzenia, które zaczęło napędzać i motywować do działania całą rodzinę. Tatę, mamę, syna i dziadków.

– To zdarzyło się w czerwcu ubiegłego roku – opowiada Kuba. – Był koniec roku szkolnego. Oceny zostały wystawione i myślałam już na wakacjach. Trenowałam całą wiosnę do zawodów szkolnych, do mistrzostw Mazowsza i chciałam zwyczajnie odpocząć. Wtedy tata przyniósł wiadomość, która



...pytali, gdzie trenuję, a ja mówiłem, że trenuje mnie tata

odznaczyli mnie i wraz z piętnastoma innymi zawodnikami czekałem na sygnał startera.

Wystartowaliśmy bardzo szybko. Tempo jak na ten dystans było zawrotne. Biegłem prawie na końcu. Wiedziałem, że jeżeli oni w takim tempie ruszyli, to ja bez diety, bez przygotowania nie dam rady. Gdybym wystartował w takim tempie jak oni, to nie wiem, czy dałbym radę przebiec ostatnie 400 metrów. Przestraszyłem się. Nie wiedziałem, co będzie dalej, ale wiedziałem, że się nie zatrzymam – nie chciałem narobić sobie wstydu.

Przebiegłem pierwsze 400 metrów i powoli zacząłem wyprzedzać jedną osobę za drugą. Na ostatnie okrążenie, gdy zadzwoniły dzwonki, wyszedłem piąty. „Wyprzedzę czwartą osobę, wyprzedzę trzecią i będę miał podium” – pomyślałem i przeżyłem szok. Oni biegli coraz wolniej, a ja dalej swoim tempem. Tak jak biegałem przez całą wiosnę, przez trzy miesiące. Nie byłem słaby. Nie wiedziałem, że jestem aż tak dobry.

Wyprzedziłem czwartą osobę, trzecią i już widziałem siebie na podium. Wyraźnie od nich odchodziłem. Ci przede mną też zwolnili i wyprzedziłem ich bez trudu. Do mety użytkowałem nad nimi stumetrową przewagę. Sto metrów różnicy to bardzo dużo, to szok na zawodach. Zwykle są trzy, cztery metry albo wszyscy wbiegają w jednej linii, a tu około dziesięciu sekund różnicy. Marzyłem, żeby złamać trzy minuty i osiągnąć czas 2.58-2.56. Zrobiłem 2.45.

To był prawdziwy szok. Pytali, skąd się wzięłem, gdzie trenuję. A ja mówiłem, że trenuje mnie tata.

– Byłam zaskoczona tym jego zwycięstwem – mówi mama Kuby. – Nie spodziewałam się tego zupełnie. Gdy zobaczyłam, że wygrywa, najpierw zaniemówiłam z wrażenia, a potem zaczęłam krzyżeć. Mamy to na rodzinnym filmie. To była wielka radość i wielkie szczęście.

wcale mnie nie ucieszyła. Znalazł zawody, które miały odbyć się 11 czerwca na obiektach klubu sportowego „Orzeł” w Warszawie. Uważał, że mógłbym w nich wziąć udział. To były lekkoatletyczne Mistrzostwa Warszawy Młodzików z klubów Warszawy i Mazowsza.

„Możesz pobiec, zobaczyć jak to jest, bo potem będą mistrzostwa Mazowsza, mistrzostwa międzywojewódzkie i mistrzostwa Polski. Sprawdzisz się, poczujesz atmosferę” – przekonywał tata.

– Nie bardzo to do mnie przemawiało. Byłem zmęczony poprawianiem ocen w drugiej klasie i treningami. Miałem już dość stresu, bo w ciągu roku było go niemało. Ciężko to opisać i jeszcze te zawody – kula w nogi.

Pięć dni przed zawodami pojechaliśmy jednak na bieżnię do Piaseczna, żeby się rozruszać, zrobić sprinty. Nie byłem z tego powodu szczęśliwy. Dwa dni przed tymi zawodami miałem bal gimnazjalny i myślami byłem raczej na balu niż na bieżni.

Bal był w piątek. W sobotę już nie chciało mi się trzymać diety, jaką mam przed startami i pojechaliśmy na zawody. Nie byłem specjalnie zestresowany, choć startowałem z klubowymi zawodnikami, którzy mają sponsorów, trenerów, biegają w klubach i mają wyniki w internecie.

Nikt mnie nie znał, a ja nie znałem zasad licencjonowanych zawodów. Nie wiedziałem, że piętnaście minut przed startem trzeba się zgłosić, żeby odznaczyć się na liście startowej i gdyby nie mama, która krzyczała z trybun, tobym nie wystartował. Kiedy ja po jednej stronie bieżni robiłem sobie rozgrzewkę i sprinty na „setkę”, po drugiej stronie zawodnicy już ustawiali się na linii startu.

To były zawody na 1000 metrów. Mama krzyczała do mnie: „Przecież oni już tam stoją, czekają”. Serce zaczęło mi walić. Pobiegłem na start. Krzyknąłem, że jest Salomonowski,

Tata trener

– Od zawsze byłem inicjatorem aktywności na powietrzu. Sprzęty do ćwiczeń, które mamy w domu, są jeszcze z czasów mojej młodości, z dawnego domu. Mieszkaliśmy na Ursynowie koło Lasu Kabackiego. Miałem tam wyśmienite warunki do trenowania i miło ten okres wspominam.

Kiedy przenieśliśmy się do Nowej Iwicznej i gdy został oddany do użytku stadion szkolny z bieżnią i boiskiem do gry w piłkę nożną, zaczęliśmy tam chodzić całą rodziną.

Pierwsze zabawy polegały na tym, że kopaliśmy piłkę razem, we troje. My kopaliśmy piłkę, a obok, na boisku trenowali rówieśnicy Kuby z UKS Iwiczna. Któregoś dnia Kuba zapragnął grać w piłkę nożną.

Jesienią 2010 roku zapisałem go do szkółki piłkarskiej UKS Iwiczna. Chodził wtedy do drugiej klasy szkoły podstawowej. Żałuję, że przegapiliśmy pierwszą. On biegał za piłką, a ja w tym czasie biegałem na bieżni, lecząc starą kontuzję.

Wiosną 2011 roku postanowił, że ze mną pobiega. W wieku 8 lat przebiegł prawie 4 km, więc zacząłem go zachęcać, żeby częściej biegał razem ze mną – wspomina pan Tomek.

– Po kontuzji wracałem do sportu, wracałem do biegania i on się w ten wir włączył. Biegaliśmy razem. Zaczynaliśmy od 1 km, potem 2-3 km.

Muszę dodać, że poza piłką nożną i bieganiem Kuba lubił słuchać muzyki i tańczyć. Zapisaliśmy go na zajęcia grupy tanecznej „Grawitacja”, które odbywały się w szkole i dzieilił czas między naukę, taniec i grę w piłkę.

Kiedy na początku trzeciej klasy taneczne zajęcia Kuby przeniosły się razem z „Grawitacją” do Piaseczna, jeździliśmy na nie w trójkę samochodem. Ja z Kubą zostawałem na zajęciach, a żona jechała ćwiczyć Tai Chi. Siłą rzeczy musieliśmy we dwóch wracać na piechotę. Pomyślałem: „Po co marnować czas. Wykorzystajmy go na bieganie”. I biegaliśmy z Piaseczna prosto do szkoły w Nowej Iwicznej na zajęcia z piłki nożnej. Godzina „Grawitacji”, trzy kilometry przebieżki i trening piłkarski.

Piłka nożna daje młodzieży bardzo dobrą podstawę do szczegółowych specjalizacji. To jest sport ogólnorozwojowy. Praca mięśni w każdym kierunku, stawów, ścięgien. To była idealna podstawa do tego, żeby w późniejszym okresie zacząć biegać. Ponieważ jako 10-latek dwa lata grałem w piłkę w trampkarzach Legii,



...kiedy zaczęły się zawody, to znaleźliśmy sposób na życie

wiem, o czym mówię. Później przerzuciłem się na lekką atletykę, potem uprawiałem karate, a na koniec kick boxing. Kuba jeszcze sztuk walki nie próbował.

Mnie nikt nie mógł zmobilizować, zachęcić, przypilnować, żeby nie skakać tak po dyscyplinach sportu, tylko w czymś wytrwać. Dlatego staram się pilnować, żeby Kuba też nie skakał. Żeby wytrwał.

– Wybrałem lekką atletykę – mówi Kuba. – Doszedłem do wniosku, że bardziej odpowiada mi sport indywidualny niż piłka nożna. Nie przepadam za pracą w grupie. Bieganie jest odpowiednie. Sam pracuję na swój sukces. Nikt za mnie tego nie zrobi. Jedynie rodzice mogą mi pomóc.

Podział w naszej rodzinie jest jasny. Tata zajmuje się moimi treningami, mama dba o moją sportową dietę.

– Ten podział obowiązków jest, można powiedzieć, profesjonalny. Ponieważ ja miałem przeszłość sportową, to zajmuję się działalnością aktywną. Natomiast większość spraw, które są związane z mentalnością, umysłem, dietą, leczeniem kontuzji, to działka mojej żony – dodaje pan Tomek.

Mama dietetyczka

– Moja perspektywa jest inna. Ja szukam sposobu na wspólne spędzanie czasu – mówi pani Anna. – Kiedy zaczęły się zawody, to znaleźliśmy sposób na życie. Zaczęliśmy razem czekać na weekend, żeby się spakować i jechać na zawody. Bez względu na to czy deszcz, czy słońce, bez względu na porę roku. Napoje, przegryzki, plecak i jechaliśmy na zawody. Nasza gmina to wspaniałe miejsce, żeby rodzinie wyjeżdżać na zawody. Jesteśmy otoczeni miejscami, w których się odbywają. Czasami ciężko nam zdecydować, gdzie mamy jechać.



...puchary i trofea, które mam, są właśnie z biegów amatorskich

Biegaliśmy już trzy razy w Magdalence, Lesznowoli i Piasecznie, gdzie zawody organizują państwo Renata i Wiesław Paradowscy, wspaniali zawodnicy, których poznaliśmy na „Biegu po dynię”. Kilka razy biegaliśmy w Konstancinie, braliśmy udział w biegach przelajowych, biegu papieskim w Habcinie, wspaniałych biegach na torze Służewickim. Teraz byliśmy z mężem na niesamowitym biegu w Lesie Kabackim. To były „Dziady Kabackie”. Biegaliśmy po lesie 10 km z latarkami i paliliśmy znicze m.in. tam, gdzie jest pomnik ofiar katastrofy lotniczej, ale także miejsca upamiętniające powstańców. Tutaj jest kopalnia biegów. Nie trzeba daleko wyjeżdżać.

Dla mnie każde przebiegnięcie jest zwycięstwem. Bieg z tak dużą liczbą osób jest niesamowity, bo człowiek wtedy myśli: „Co ja tu robię, jest niedziela?”. Potem pierwsze 200 metrów i jest energetyczny zjazd, ale człowiek się rozgląda, patrzy – tyle osób. Wszyscy się męczą i męczymy się wspólnie, i z tego zmęczenia jesteśmy zadowoleni.

– Podejrzewam, że duża część młodzieży, która spędza czas w towarzystwie kolegów, nie czuje frajdy, jaką się ma, gdy stanie się wśród kilku tysięcy ludzi na starcie – dodaje pan Tomek. – Do biegu, w którym biorą udział rodzice z małymi dziećmi, profesjonalni biegacze i babcie z dziadkami. Jaka jest radość, kiedy kończy się bieg i każdy otrzymuje pamiątkowy medal. Oni tego nie czują. Gdyby ktoś był w stanie namówić ich, żeby wystartowali, może by to poczuli.

– A propos sportowej diety, to założyliśmy ogródek przydomowy – wtrąca pani Anna. – Głównie zajmują się nim moi rodzice, ale my też z niego korzystamy. Uprawiamy różne rodzaje sałat i zióła.

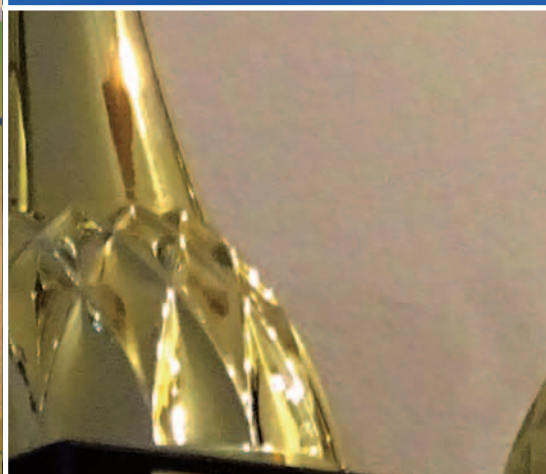
Robimy codziennie soki, szukamy przepisów związanych z dietą, która daje dużo energii, nie obciąża i pozwala całej rodzinie zachować dobrą kondycję. Kuba, odkąd biega, wymaga specjalnego odżywiania i specjalnej diety.

Kuba

– Moje pierwsze zawody lekkoatletyczne odbyły się na stadionie przy szkole w 2012 roku. Każdego roku jest organizowany festyn, a jeszcze kilka lat temu były organizowane zawody. Ponieważ biegałem już od roku, rodzice namówili mnie, żebym wystartował w zawodach. Wahałem się, zastanawiałem, ale zaryzykowałem i pobiegłem. Zająłem pierwsze miejsce i od tego się zaczęło. Zasmakowało. Miałem zachętę, żeby startować w kolejnych.

Te puchary i trofea, które mam, są właśnie z biegów amatorskich. Kiedy byłem młodszy, wolałem siedzieć w domu, uczyć się albo pójść pobiegać na boisko z kolegami. Przyzwyczałem się do tego, że ciężko trenuję i wolę wyjść, potrenować, bo czuję się spokojniejszy.

Wolę posiedzieć przy książkach, dostać dobrą ocenę albo pobiegać, bo to mi coś daje. Jestem po prostu fajnie zmęczony. Oczywiście lubię czasami się rozerwać, ale tak codziennie się spotykać z kimś, rozmawiać nie wiadomo





...profesjonalne bieganie to jest ciężka praca

o czym, o głupotach, nie mieć już ochoty na to i dalej rozmawiać – to już nie.

– Profesjonalne bieganie to jest ciężka praca, która polega na wielu wyrzeczeniach, odstawieniu różnych zabawek rozpraszających, a skupieniu się na wysiłku – wtrąca tata.

– Od tamtego pamiętnego biegu na 1000 metrów stałem się kimś na listach z czasami. Miałem pierwszy czas na Mazowszu. Zaczęło funkcjonować moje nazwisko. Przez wakacje przygotowywałem się do wrześnieowych mistrzostw Mazowsza, które też wygrałem. Identycznie. Było mniej osób, ale na mecie wyprzedziłem następnego też prawie o 100 metrów.

Bardzo ciężko trenowałem. Co drugi dzień jeździliśmy z tatą na bieżnię do Piaseczna. Tam robiłem bardzo ciężkie treningi interwałowe. Tak ciężkie, że następnego dnia trudno mi było wstać, bo tak bolały mnie nogi.

Przyszła chwila zawodów. To było dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Już byłem zestresowany. Rozpoczęcie roku, zawody, trzeba trzymać dietę, nie jeść normalnie, pić różne soki z buraka.

Babcia po kompostowniku wie, że zbliżają się zawody, bo wytłoczyny z warzyw i owoców lądują w nim wiadrach. Przed samymi zawodami jestem wykończony i chcę zjeść coś dobrego.

Mistrzostwa Mazowsza były w Kozienicach. Zrobiłem identyczny dystans między drugim zawodnikiem jak na mistrzostwach Warszawy. Byłem szczęśliwy, ale już nie tak bardzo zaskoczony, jak na tamtych zawodach. Już wiedziałem, że stać mnie na dobry wynik, tylko nie wiedziałem, czy to powtórzę.

Tydzień później były mistrzostwa międzywojewódzkie w Olecku, na których zająłem drugie miejsce.



Dwa tygodnie potem były mistrzostwa Polski. Biegły 23 osoby. Nie było większego sukcesu, ale sukcesem był sam start. Jeszcze dwa miesiące wcześniej nie myślałem, że się tam znajdę.

– Minęło półtora miesiąca i któregoś dnia zadzwonił telefon – mówi tata. – Zaproszono Kubę na badanie diagnostyczne do zaplecza kadry narodowej.

– W pół roku nasza zabawa zamieniła się w poważne sportowe przedsięwzięcie – mówi z dumą pani Anna. – Wczoraj byliśmy na obowiązkowych badaniach PZLA.

A co na to Kuba?

– Jestem w trzeciej klasie gimnazjum i w przyszłości chcę studiować na AWF-ie. Moim marzeniem jest start na olimpiadzie w 2024 roku. W 2020 będę jeszcze za młody. Chcę być zawodowym biegaczem. Później, gdy już skończy się ta kariera, bo kariera lekkoatlety kończy się dość wcześnie, chciałbym być trenerem. Mogę być dietetykiem. Lubię bardzo wspierać ludzi i pomagać im w trenowaniu. ■



– Gdy miałam siedem lat, robiłam sto pięćdziesiąt naleśników dla robotników pracujących w gospodarstwie rolnym moich rodziców. Nie lubiłam pracować w gospodarstwie. Nie lubiłam pracować w ziemi, dlatego do moich obowiązków należało przygotowywanie posiłków – mówi Małgorzata Kiljańczyk z Lesznówoli. – Może to zdecydowało, że profesjonalnie zajmuję się żywieniem ludzi.



Ojciec wybudował dla córki dom z salonem fryzjerskim i poczekalnią. Chciał, żeby została fryzjerką. Niestety Małgorzata nie spełniła marzenia taty. Wybrała szkołę gastronomiczną. Rodzice musieli się z tym pogodzić. Opowiemy, jak to było.

Jajecznica na mleku

Kiedy pani Małgorzata powiedziała, że jako dietetyczka poleca jajecznicę na mleku, trochę odebrało nam mowę. Owszem, jajecznica na boczku, na maselku, z grzybami, z kiełbasą – tak. Ale na mleku?

Trudno jednak dyskutować z kimś, kto na co dzień zajmuje się żywieniem, jest dietetykiem, technologiemi żywienia, prowadzi stołówkę w Zespole Szkół im. Jana Pawła II w Łazach, przygotowuje dania na przyjęcia weselne, chrzciny, imieniny i inne imprezy okolicznościowe. Jeśli coś mówi, to wie, co mówi.

– Codziennie z rana jajecznica na mleku. Wspaniała dieta. Sama przez to przeszłam, odchudzając się po ciąży. Polecam – mówiła pani Małgorzata. – Oczywiście do tego dochodziły ćwiczenia, ale po czterech miesiącach było dwadzieścia kilo na minusie.

Do szkoły podstawowej chodziłam w Lesznowoli, potem dostałam się do technikum gastronomicznego na ulicy Poznańskiej w Warszawie. Po technikum przyszło mi do głowy, żeby pójść na studia, więc skończyłam administrację i prawo na Uniwersytecie Lubelskim, ale w konsekwencji zwyciężyła miłość do gotowania.

Ja po prostu kocham gotować i nic innego nie chciałabym w życiu robić. Powiem więcej. Do niczego innego się nie nadaję. Kocham tworzyć przepisy, przyrządzać jedzenie i to jest priorytet mojego życia.

Droga do kuchni

– Moje korzenie są w Janczewicach. Tam mieli gospodarstwo moi dziadkowie, moi rodzice, tam się urodziłam. Rodzice mieli duże gospodarstwo rolne i jak większość rolników naszej gminy uprawiali warzywa. Do szkoły, jak już wspomniałam, chodziłam w Lesznowoli. Pamiętam, że któregoś dnia moja wychowawczyni, pani Zofia Doktorska, zabrała uczniów na wycieczkę po Magdalence. To była taka lekcja przyrody. Po wycieczce zaprosiła nas do swojego domu na kanapki.

Wiecie państwo, co ja z tej wycieczki zapamiętałam? Kanapki. Przepięknie udekorowane minikanapki. Gdy je zobaczyłam, nie potrafiłam już mówić o niczym innym. Mówiłam tylko o tych przepięknych kanapkach.

Moi rodzice zatrudniali w swoim gospodarstwie sporo ludzi. Robiłam dla nich sto pięćdziesiąt naleśników dziennie. Nienawidziłam pracy w gospodarstwie, nie lubiłam się brudzić. Wolałam dla wszystkich gotować, piec ciasta, robić kanapki, byle nie robić w gospodarstwie.

Robiłam to nie dlatego, że ktoś mi kazał, tylko z czystego zamiłowania. Dla przyjemności.

Mój ojciec, jak wspomniałam, koniecznie chciał, żebym została fryzjerką. Pobudował dla mnie w Lesznowoli dom z zakładem fryzjerskim. Mieszkam tam do dziś, ale fryzjerką nie zostałam. Powiedziałam, że chcę gotować.

Gdy w 1983 roku zdawałam do szkoły gastronomicznej na Poznańską, na jedno miejsce przypadło szesnastu kandydatów.

Każdy rok szkolny kończyłam z nagrodą, a tą nagrodą były książki kucharskie i praktyki w kuchniach

...jesteśmy chyba jedyną szkołą, która wydaje dzieciakom trzy dania do wyboru

prawie wszystkich znanych hoteli. W Marriottcie, Bristolu, Sheratonie i innych. Z książek korzystam do dziś.

Kiedy skończyłam technikum, zaczęłam pracować jako kierowniczka stołówki w szkole podstawowej w Tarcynie. Pani dyrektor szkoły powtarzała mi ciągle, że się marnuję. Kiedy po sześciu latach likwidowano stołówki, zlikwidowano i moją.

Któregoś dnia wracałam do domu i zobaczyłam, że w Łazach budują szkołę. Zgłosiłam się do pracy, bo zależało mi na wolnych weekendach. Normalnie praca w gastronomii nie uznaje wolnych weekendów, a ja potrzebowałam te wolne dni na studia. W szkole takie możliwości były. Dostałam pracę i od 2003 roku jestem kierowniczką wspaniałej wyposażonej stołówki szkoły w Łazach.

Prowadzę też od lat własną działalność gospodarczą. Mam w domu catering, wydaję lunchy do firm, przedszkoli i szkół, prowadzę w Lesznowoli punkt gastronomiczny.

Ze szkoły w Łazach wychodzę około godziny szesnastej i wpadam w wir innego gotowania. Mam na szczęście wspaniały zespół ludzi, którzy lubią i potrafią gotować, są dyspozycyjni, bo przecież trudno przewidzieć, kiedy skończy się bal czy wesele i nadają ze mną na jednych falach.

Nietypowa stołówka

– Stołówka w szkole w Łazach nie jest typową stołówką szkolną. Mogę się pochwalić, że jesteśmy chyba jedyną szkołą, która wydaje dzieciakom trzy dania do wyboru. W tym jedno wegetariańskie.

Sztuka gotowania polega na dopasowaniu jedzenia do klienta, u nas do ucznia. Każdy ma inny zmysł smaku, inne upodobania, inną kulturę, z której się wywodzi. Żeby to wszystko dopasować, trzeba trafić w gust.

Ja na przykład, jeśli przywożę jakieś przepisy kulinarne z Włoch, Francji czy Grecji, staram się je



fot. z archiwum prywatnego
Małgorzaty Kiljańczyk



**...dzieci z drugiej i trzeciej klasy
nauczyły się w ciągu godziny
gotować dwudaniowy obiad**

dopasować, zmodyfikować pod naszą kulturę żywienia. Uważam bowiem, że powinniśmy jeść przede wszystkim to, co rośnie w naszym klimacie.

Lubię lekką kuchnię portugalską, hiszpańską z owocami morza, ale to nie są potrawy, które jada się w naszej kuchni. Dlatego łamię te przepisy i wprowadzam do nich nasze produkty.

Jestem zwolenniczką kupowania rodzimych produktów bezpośrednio od rolnika. Nieprzetworzonych, nieumytych, bo są bardziej wartościowe. W swojej kuchni nie używam „Warzywka”, tylko suszone przeze mnie warzywa.

Staram się, aby każdy produkt od początku do końca był wykonywany przez nas. Bez sztucznych sosów, dodatków i bez półproduktów. W naszym jadłospisie mamy dużo produktów z ziemniaków. Wrzesień i październik jest pod znakiem dyni,

bo w naszej gminie mamy jej wtedy pod dostatkiem. Dynia pojawia się w naszej kuchni pod każdą postacią: placków, zup, sałatek i dyniowych ciastek. Nikt nam nie chce wierzyć, że sami w stołówce szkolnej robimy pierogi.

Mogę się pochwalić, że od dziecięciu lat, układając menu, nigdy nie użyłam szablonu jadłospisu. Na każde dziesięć dni układam jadłospis od początku. To nie znaczy, że nie powtarzają się takie produkty jak spaghetti czy pierogi, ale są komponowane z inną zupą, innym deserem, innym kompotem. Dlatego się nie przejadają. Nie ma powtarzalności całego dania.

Kiedy układam jadłospis dla naszych dzieciaków czy dla firm, stosuję zasadę, że jeden obiad jest dietetyczny, czyli gotowany, drugi jest typowym obiadem kuchni polskiej, trzeci zaś wegetariański. Dzieci codziennie mają do wyboru

trzy obiady. Do tego mają barek surówek i same sobie dobierają, co im smakuje.

Raz w tygodniu przez kilka lat prowadziłam z dziećmi zajęcia kulinarne. W ubiegłym roku miałam grupę, którą uczyłam gotować. Dzieci z drugiej i trzeciej klasy nauczyły się w ciągu godziny gotować dwudaniowy obiad. Niektóre z nich zdradziły mi na zajęciach, że pierwszy raz w życiu trzymały w ręku nóż, bo dzieci dziś nie są przyzwyczajone do tego, żeby cokolwiek robić samemu.

Na moich zajęciach robiły wszystko. Zajęcia kończyły się odpowiednim dyplomem i książeczką kucharską, zawierającą przepisy dań, które same robiły. Kiedy do domu zabierały dania ugotowane czy upieczone w czasie zajęć, to mamy nie chciały wierzyć, że wykonały to samodzielnie. Że potrafiły w tym samym czasie gotować ziemniaki i robić kotlety. Nie wiedziały,

że połową sukcesu w gotowaniu jest zorganizowanie pracy.

W kuchni jednocześnie wykonuje się kilka czynności. Sukcesem jest przygotowanie obiadów dla pięćdziesięciu osób i wydanie ich jednocześnie. Gotowanie jest bardziej pracą umysłową niż fizyczną. Przy gotowaniu, przy organizacji pracy w kuchni trzeba przede wszystkim myśleć.

Proszę sobie wyobrazić, że w naszej szkole podczas dwudziestominutowej przerwy na obiad, w ciągu sześciu minut wydajemy sto pięćdziesiąt talerzy z daniami. Robią to trzy osoby. Dziecko bowiem przychodzi do szkoły, żeby się uczyć, a kiedy ma przerwę, powinno zjeść, a nie czekać na obiad.

Moim sukcesem jest to, że nasza szkolna stołówka zdobyła certyfikat szwajcarskiego programu KIK 34 „Zapobieganie nadwadze i otyłości oraz chorobom przewlekłym poprzez edukację społeczeństwa w zakresie żywienia i aktywności fizycznej”. Program ten łączy żywienie ze sportem, szkolnym sklepikiem, edukacją rodziców, dzieci i zajęciami pozalekcyjnymi.

Dzieci niełatwo nakarmić. Mają bardzo wyczulone kubki smakowe. Dlatego jedzenie dla nich musi być robione na świeżo. Tu nie stosuje się zabiegów takich jak w restauracjach, że przygotowuje się na zapas wywar. Cały obiad przygotowuje się rano, wydaje i wyrzuca resztki. Nic nie zostaje na drugi dzień. Nigdy przez te wszystkie lata do naszych obiadów nie miała zastrzeżeń terenowa stacja sanitarna. Wprost przeciwnie, często panie korzystały z naszych jadłospisów.

Kuchnia to jest odpowiedzialność, ciągła adrenalina. Każdy fachowiec może się do pracy spóźnić, ale my z jedzeniem musimy być gotowi co do minuty. I to nie tylko w szkole. Bo jeśli na przykład robię przyjęcie weselne, to nie powiem gościom: „Proszę państwa, proszę poczekać”. Dlatego jest to ciągle ciśnienie, nerwy i odpowiedzialność. W zamian jest ogromna satysfakcja,



której z niczym nie da się porównać. Jeśli dwieście czy trzysta osób jest z mojej pracy zadowolonych, to mam satysfakcję i to mnie kręci.

Gdy chodziłam do szkoły gastronomicznej, specjalizowałam się w ciastach. Ciasta to był mój priorytet. Nawet był taki moment, że zastanawiałam się, czy nie zostać cukiernikiem. Z pracowni na Poznańskiej dostawałam jako uczennica, kilkunastoletnia dziewczyna, zlecenia na ciasta. Piekłam ciasta na bankiety, które odbywały się w Pałacu Kultury i Nauki. To były bankiety dla tysiąca osób i ja w swojej domowej kuchni piekłam na te bankiety ciasta. W ten sposób zarabiałam.

Pamiętam, jak w technikum na Poznańskiej zdawałam egzamin. Zadania egzaminacyjne były losowane. Wylosowałam ciasta i drinki. Piekłam keks i wyłączyli prąd. Bałam się, że bakalie w cieście opadną i będą po balu. Ale na szczęście bakalie nie opadły i była na egzaminie szóstka. Śmiałam się, że ponieważ komisja po cieście oceniała drinki, a ocena była za obydwie zadania, to może dobrze, że oceniała po drinkach.

W szkole też pieczemy dla dzieci ciasta. Dziennie wydajemy sześćset obiadów. Dzieciaki są tak świetnie zorganizowane, że jak podchodzą po obiad, to nie zastanawiają się co wybrać. Krótko meldują: „Zwykły, dietetyczny, wega”. Rodzice, kupując obiady, płacą tylko za wsad do kotła. Resztę refunduje urząd gminy. Urządzenia kuchenne są u nas urządzeniami dwudziestego pierwszego wieku. Aż miło pracować.

Ja zresztą kocham pracować. Nie mam czasu na oglądanie programów kulinarnych. Mamy przecież dwójkę małych dzieci. Synka Michała, który bardzo interesuje się gotowaniem i wiele już potrafi, i córkę Izę, której gotowanie zupełnie nie interesuje. Woli grać, tańczyć i śpiewać. ■



**...kuchnia to jest
odpowiedzialność,
ciągła adrenalina**

Nazywają go pyra, grula, brambor, bulba, kompera, perka i kartofel. Ma swoje święta lokalne i narodowe. Bywa bohaterem pikników, warsztatów kulinarnych i wykwintnych obiadów. Niektórzy z dzieciństwa pamiętają grę nazwaną jego imieniem, inni wykonane z niego własnoręcznie stemple. Dziś na stole...

KRÓL ZIEMNIAK

Nie ma chyba drugiego warzywa, które cieszyłoby się taką popularnością. Gdy król Jan III Sobieski przywiózł pierwsze jego sadzonki, nie zdawał sobie sprawy, że ziemniak zdomowi się u nas na dobre, z czasem stając się jednym z głównych składników codziennej diety. W wyniku setek lat upraw, krzyżowania i selekcji na świecie powstało ponad tysiąc jego odmian. Są więc ziemniaki sałatkowe i mączyste, o miąższu żółtym, białym i fioletowym, o bulwach okrągłych, podłużnych lub owalnych, małych, dużych lub bardzo dużych. Są ziemniaki, które idealnie nadają się na frytki, z innych powstają chrupiące chipsy, a z kolejnych idealne placki ziemniaczane. Jedni smakosze najwyżej cenią młode ziemniaczki z koperkiem, drudzy osmolonego ziemniaka prosto z ogniska. Dziś dla wszystkich poddanych króla ziemniaka kilka propozycji z jego udziałem.

NA POCZĄTEK FRYTKI

SKŁADNIKI

ziemniaki, sól, pieprz, papryka w proszku, suszone oregano, oliwa
SOS DO FRYTEK: 1 cebulka, 2 ogórki konserwowe, ząbek czosnku, łyżka kaparek, 3 łyżki majonezu, odrobina musztardy, koperek

Ziemniaki obierz i pokrój w słupki. Przełóż do miski. Posól i popieprz. Dopraw oregano i papryką. Oblej oliwą i wymieszaj. Wyłóż na blachę i piecz w temperaturze 200 stopni przez ok. 40 minut, aż będą złote. Przygotuj sos. Cebulkę i ogórki konserwowe pokrój w drobną kostkę. Posiekaj czosnek i kaparki. Dodaj majonez, musztardę i koperek. Wszystko wymieszaj.



SALATKA ZIEMNIACZANA Z SELEREM NACIOWYM

SKŁADNIKI

6 ugotowanych ziemniaków, 1 szalotka, kilka gałązek z listkami selera naciowego, 2 jajka ugotowane na twardo, 4 ogórki kiszzone, garść czarnych oliwek, kilka łyżek jogurtu greckiego, musztarda, sól, pieprz, słodka i ostra papryka

Ziemniaki pokrój w kostkę. Cebulę drobno posiekaj. W drobną kostkę pokrój ogórki i jajka. Wszystko przełóż do miski. Wymieszaj jogurt (jeśli wolisz, może być majonez) z musztardą (do smaku). Dodaj sól, pieprz i paprykę do smaku. Sos wymieszaj. Przelej do miski i wymieszaj z pozostałymi składnikami. Na wierzch rozrzuć listki selera naciowego i czarne oliwki dla kontrastu.

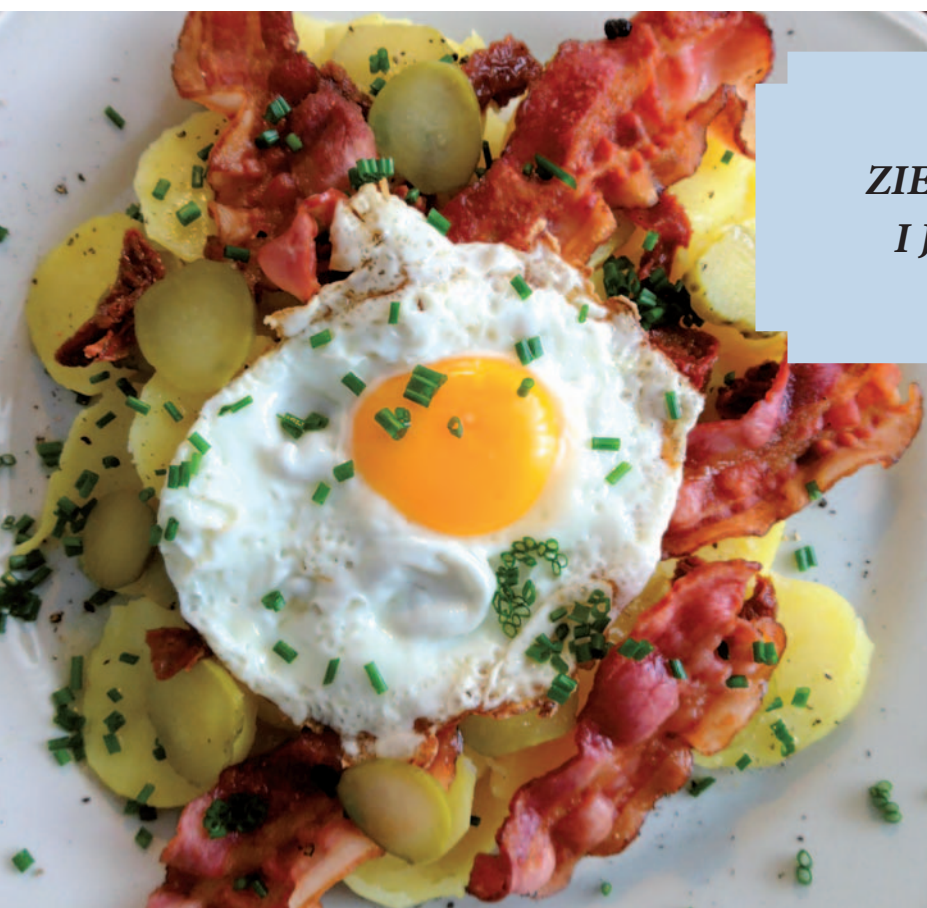


ZIEMNIAKI PIECZONE Z CZOSNKIEM

SKŁADNIKI

kilka większych ziemniaków, główka czosnku, łyżeczka słodkiej papryki, łyżeczka ziół prowansalskich, sól, pieprz, szczypta ostrej papryki, olej, szczypiorek, ziołowy serek Almette, jogurt

Ziemniaki obierz, opłucz i ponacinaj w poprzek, nie przecinając jednak do końca. Weź naczynie żaroodporne. Lekko natrzyj je oliwą i ułóż ziemniaki. Polej delikatnie olejem, oprósz solą, pieprzem, ziołami prowansalskimi i papryką. Dołóż przekrojona na pół główkę czosnku (możesz też ograniczyć się do 2-3 ząbków, jeśli nie przepadasz za intensywnym smakiem czosnku). Przykryj folią aluminiową i wstaw do piekarnika nagrzanego do 200 stopni na 40 minut. Podczas pieczenia co jakiś czas obracaj ziemniaki. Na 10 – 15 minut przed końcem pieczenia zdejmij folię i ułóż ziemniaki nacięciami do góry. Po wyjęciu skrop delikatnie oliwką, posyp ziołami prowansalskimi i podawaj z serkiem Almette rozcieńczonym jogurtem i doprawionym pociętym szczypiorkiem.



ZIEMNIAKI Z BOCZKIEM I JAJKIEM SADZONYM

SKŁADNIKI

1/2 kg ziemniaków, 150 g boczku wędzonego w plastrach, 3 ogórki konserwowe, 6 suszonych pomidorów, 1 jajko, szczypiorek
SKŁADNIKI SOSU: 2 łyżeczki musztardy, sól, pieprz, 3 łyżki oliwy, 1 łyżeczka miodu

Ziemniaki obierz i ugotuj w osolonej wodzie. Odcedź i pokrój w plastry. Wyłóż na talerz. W tym czasie usmaż na patelni plastry boczku. Ogórki pokrój w plasterki, a pomidorki w paski i dołóż do ziemniaków. Składniki sosu połącz ze sobą i polej nim wszystkie składniki. Na wierzch połóż plastry boczku i sadzone jajko. Całość posyp szczypiorkiem.

FASZEROWANE ZIEMNIAKI

SKŁADNIKI

1 kg ziemniaków, 250 g grzybów świeżych lub suszonych, 1 cebula, 2 łyżki masła, sól, pieprz, papryka w proszku, natka pietruszki

Ziemniaki obierz, lekko obgotuj i odcedź. Poczekaj do wystygnięcia. Teraz przekrój ziemniaki na wysokości 1/3, tak żeby powstał spód i przykrywka. Ze spodu wydrąż miąższ. W tym czasie cebulę pokrój w piórka i wrzuć na patelnię. Dorzuć pokrojone w paski grzyby, a po chwili wydrążony miąższ z ziemniaków i natkę pietruszki. Całość przesmaż. Dopraw solą i pieprzem. Wydrążone ziemniaki wypełnij farszem, posyp papryką, skrop oliwą i wstaw do piekarnika nagrzanego do 180 stopni na około 25 minut. Kiedy ziemniaki się upieką, połóż na wierzch odrobinę masła i posyp pietruszką.



A photograph of a winter landscape. The scene is dominated by evergreen trees heavily laden with snow. The snow is bright white, contrasting with the dark green of the trees. The sky is a clear, pale blue with some light, wispy clouds. The lighting suggests a bright day, with shadows cast on the snow. The overall mood is peaceful and serene.

Zima

*„...I jakiś pokój dziwnie błogi
Ogarnął śnieżne mgły srebrzyste;
Na senne chaty, pola, drogi
Milczenie padło uroczyste...”*

Antoni Lange